

Wstęp

Drogi Czytelniku!

Oddaję w Twoje ręce zbiór opowiadań, które powstawały na przestrzeni kilku lat. Różnią się tematyką, często stylem, humorem, jednak mam nadzieję, że znajdziesz tu coś dla siebie.

Zbiór został podzielony na trzy części: „Skrzydlate historie”, gdzie znajdziesz opowiadania o aniołach lub z anielskimi elementami, „Echo magicznych krain”, opowiadania stricte fantasy, z klasycznymi dla nich rasami, choć nie zawsze przedstawionymi w typowy sposób oraz „Opowieści ze światów pomiędzy”, w których umieściłam opowiadania zawieszane w niekonwencjonalnych miejscach.

Na koniec, Drogi Czytelniku, pozostaje mi tylko życzyć Ci miłej lektury.

Ewa Kapadocja Lasota

SKRZYDLATE HISTORIE

Biada, biada, biada

Opowiem wam o tym, jak skończył się świat. Nie, nie było komet, Marsjan ani wybuchu Słońca. Była zwykła, uczciwa apokalipsa, dokładnie taka, jaką opisał w swojej księdze święty Jan. Anioły odtrąbiły początek i zaczął się horror. Z nieba spadł krwawy deszcz, a zaraz po nim grad płomieni.

Był piękny, kwietniowy poranek, gdy zatrzymałem się w kawiarni, by napić się kawy w jakimś kolorowym miejscu przed początkiem szpitalnego dyżuru. Pijąc małą czarną przeglądałem od niechcenia gazetę. Ominąłem pierwsze strony, krzyczące o kolejnych aferach, kradzieżach, morderstwach i wojnach gdzieś bardzo daleko, w które, całkowicie filantropijnie, w obronie uciśnionych, nie ropy, broń Boże, wmieszał się nasz rząd. Przekartkowałem cały dziennik, nie znajdując w nim nic interesującego, więc zrezygnowałem z lektury.

Wsiadłem do auta i ruszyłem, uśmiechając się do siebie. Minałem spokojnie St. George's Street i skręciłem w Golden Park. Tam zatrzymałem się na końcu pokaźnego ogonka. Korek ciągnął się aż do następnej przecznicy.

Zastanawiałem się, czy wypisali już panią Northon. Miła kobiecina, jednak strasznie schorowana. I, mimo licznej rodziny, samotna. Często z nią rozmawiałem, naprawdę uważałem, że praca lekarza nie ogranicza się jedynie do przepisania tabletek; w każdym pacjencie widziałem przede wszystkim człowieka, przychodzącego do mnie po pomoc. I za każdym razem cieszyłem się, że wybrali właśnie mnie, ufając umiejętnościom i wiedzy.

Stałem już dobre kilkanaście minut, jednak nic nie mogło zmącić mojego świetnego nastroju. Nawet dziwaczny obdartus ze skołtunioną brodą, zatkniętą za pasek poszarpanych spodni, który podchodził po kolei do każdego samochodu i grzmiącym głosem obwieszczał, że koniec jest bliski! Wygrażał przy tym powykęcany artretyzmem paluchem, jakby chciał skarcić niesforne dzieci. Jeżdżąc tą trasą spotykałem w ciągu tygodnia przynajmniej kilku jemu podobnych. Głosili najczęściej przybycie obcych, którym należy przygotować gościńę, przebudzenie Atlantydów czy jak ten jegomość – koniec świata w tej czy innej formie. Nauczyłem się już ignorować tych nieszkodliwych dziwaków, odmawiając za nich w duszy modlitwę o uzdrowienie poszarpanego umysłu.

Niebo zasnuły ciemne chmury, po których przetoczył się grzmot. Huk nie umilkł po chwili, jak to ma w zwyczaju prawdziwy piorun, lecz trwał, wyjąc coraz głośniejsze. Ludzie padali na ziemię, zasłaniając uszy, okna na wystawach popękały, obsypując przechodniów deszczem drobnego szkła. Oparłem głowę o kierownicę i wiedziałem, że krzyczę, ale nie słyszałem swojego głosu, łączącego się z wrzaskiem wszystkich wokół. Tylko stary dziwak nie panikował; padł na kolana, wznosząc ręce ku niebu i dziękował Bogu, że dane mu było zobaczyć Jego ponowne przyjście. Na twarz mężczyzny spadły pierwsze krople krwistego deszczu, a on dalej klęczał, zwracając szalone oczy ku Stwórcy. Trąba umilkła.

Podniosłem niepewnie głowę; nadal dzwoniło mi w uszach, z przerażenia nie mogłem zaczerpnąć oddechu. Skrzyżowałem spojrzenia z obłąkanym starcem.

– Zaczęło się, bracie. Ciesz się, że nie musisz obawiać się gniewu Pana, który przychodzi w obłoku. - Szeptął, jednak dla mnie jego słowa dźwięczały jak bębny. Chciałem coś powiedzieć, ale głos uwiązł mi w gardle. Bezradnie patrzyłem na ulice złane krwią i posypane szkłem. "Jak truskawki z cukrem" – pomyślałem, nie mając pojęcia, skąd w głowie wzięło się tak absurdałne porównanie.

Ciemne niebo kotłowało się nisko nad podnoszącymi się z wolna ludźmi. Wstawali na nogi jak zombie; niezgrabnie, jakby pierwszy raz używali stóp. Rozglądali się zdezorientowani, nie wierzyli własnym oczom. Ściemniło się jeszcze bardziej i chmury wypluły z siebie grad płonących kamieni. Zapanował totalny chaos; każdy szukał schronienia, kierowcy próbowali pospiesznie opuścić ulicę, w panice nie zważając na pieszych. Jakaś kobieta, uciekając w popłochu, wpadła wprost pod koła ciężkiego Audi. Kierowca w ostatniej chwili próbował ją wyminąć, lecz auto zareagowało zbyt wolno. Przycisnęło ją do innego samochodu, gruchocząc kości i miażdżąc płuca. Patrzyła szklistym wzrokiem w twarz pobladłego mężczyzny, po chwili jej głowa opadła na maskę. Ogień zalał całą ulicę, pożerając chciwie parasole kawiarni i pubów, przenosząc się coraz wyżej i wyżej, aż w końcu zaczął lizać stropy budynków. Błękitno czerwona dyskoteka błyskała zewsząd, lecz nikt nie mógł przebić się przez kłębowisko aut i ludzkich ciał. Ci, którzy byli na otwartej przestrzeni, spłonęli żywcem, miotając się na asfalcie jak wyrzucone na brzeg ryby. Patrzyłem na to wszystko jakby z boku, jakby nie dotyczyła mnie ta cała sytuacja, a samochód, w którym siedziałem wcale nie płonął. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę z zagrożenia i szaleńczo próbowałem opuścić swoje więzienie. Wtedy w głowie usłyszałem głos: "Nie lękaj się. Jesteś Moim synem umiłowanym, ciebie wybrałem. Nie zginiesz, lecz będziesz żył, by głosić Moją chwałę." Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przestałem się szamotać i usiadłem spokojnie, przepelniony ufnością. Dym wdzierał się przemocą do płuc, zmuszając do kaszlu, lecz nie ruszyłem się z auta.

Obudziłem się w szpitalu, podłączony do niezliczonej ilości rureczek i kabelków. Ale żywy. Leżałem w bezruchu. Na korytarzu usłyszałem cichą rozmowę, chyba dwóch pielęgniarek.

– To prawdziwy cud... Z tego karambolu nie wyszedł cało nikt, poza nim i jeszcze jednym staruszkiem.

– Ale jak to możliwe?

– Nie mam pojęcia.

"Wyprowadziłem cię z niebezpieczeństwa tak, jak wyprowadziłem Mój lud z Egiptu"

– Wiem, Panie – szepnąłem, nie mając najmniejszych wątpliwości, że rozmawiam z Bogiem, którego wyznawałem, odkąd tylko nauczyłem się mówić.

Z OIOMu całkiem szybko przewieziono mnie do zwyczajnej sali, w której mogłem – czy tego chciałem, czy nie – dzielić się swoimi przemyśleniami ze współtowarzyszami chorobowej niedoli. Oczywiście tematem numer jeden, i tu, i w telewizji, był krwawy i ognisty deszcz.

– A pan jak myśli, co to było? - George zagadnął mnie któregoś dnia przy obiedzie.

– Ja? Nie wiem co mam o tym myśleć – skłamałem i gdzieś w głębi duszy poczułem, że uczyniłem źle. - Jak dla mnie wygląda to na początek apokalipsy – zaśmiałem się, by rozładować napięcie, ale jednocześnie pozostać w zgodzie z własnym sumieniem.

– Co też pan bredzi! Jaka apokalipsa! Pewno ruskie znowu coś kombinują, jak za czasów zimnej wojny, mówię wam! - Odezwał się stary wiarus, Jim.

– Hah! A może to obcy zafundowali nam dzień niepodległości, co? - Mike rozbroił wszystkich swoimi słowami. Gruchnęliśmy wesołym śmiechem.

Przez cały pobyt w szpitalu przeprowadziliśmy dziesiątki rozmów na ten temat. Jim obstawiał swoją teorię spiskową, Mike, jak się okazało, naprawdę wierzył w ufoludki.

Aż wreszcie nadszedł dzień, w którym lekarz mi oświadczył:

– Panie Raven, śmiało możemy pana wypisać do domu.

Ucieszyłem się jak dziecko, chociaż nie byłem przekonany, czy mam do czego wracać.

Zgodnie z moim czarnym scenariuszem, kamienica, w której mieszkałem, doszczętnie spłonęła. O odszkodowaniu z towarzystwa ubezpieczeniowego również mogłem zapomnieć, no bo kto przy zdrowych zmysłach ubezpiecza mieszkanie na wypadek pożaru w wyniku deszczu płonących kamieni?

Wyciągnąłem z banku trochę oszczędności i postanowiłem zatrzymać się w hotelu. Niestety, na podobny koncept wpadło całkiem sporo osób. Pomimo tego, że rząd zorganizował jakieś punkty pomocy i noclegownie dla najbardziej potrzebujących, nadal wiele osób nie miało gdzie się zatrzymać.

Gdy tak błąkałem się po ulicy, podszedł do mnie wysoki mężczyzna.

– Witaj, bracie – pozdrowił mnie w niecodzienny sposób. – Jeżeli szukasz schronienia, pójdz za mną. - Wskazał kierunek dłonią, na której przegubie zaśniła błękitna ryba – dokładnie taka, jaką przyjęli za swój symbol chrześcijanie. "Idź za nim" – usłyszałem. Podziękowałem nieznanemu skinieniem głowy i ruszyłem obok niego do niewielkiego kościołka, położonego na skrzyżowaniu mało uczęszczanych dróg.

Świątynia przywitała nas chłodem grubych, kamiennych murów. Mrok wewnątrz rozpraszały tylko nikłe ogniki świec, ustawionych pod figurą Matki Boskiej. Przeszliśmy nawą boczną na zakrystię, gdzie siedział siwiuteńki jak gołąb ksiądz. Podniósł oczy znad modlitewnika, zdjął okulary i wstał, by nas powitać.

– Kogo mi prowadzisz, Davidzie? - spytał słabym głosem.

– Brata, ojczy Ronaldzie. Błąkał się, zapewne szukając schronienia. -

Staruszek uśmiechnął się łagodnie i przeniósł wzrok na mnie. Wyciągnął przyjaźnie dłoń, którą uściśnałem. Nie puścił mojej ręki; stanowczym ruchem podwinął mankiet i przyjrzał się skórze. Ku mojemu zdumieniu na nadgarstku zaślniła błękitna ryba, taka sama, jaką zauważyłem wcześniej u Davida.

- Dobrze, że do nas trafiłeś, chłopcze - powiedział, puszczając mnie. Nie mogłem oderwać wzroku od fosforyzującego znamienia.
- Co to jest? - spytałem po chwili.
- Znak. Bóg wybrał Cię na swojego żołnierza w nadchodzącej bitwie o zbawienie.
- Więc...
- Apokalipsa się rozpoczęła. A my dostąpiliśmy zaszczytu, by służyć pod anielskimi sztandarami.

David zaprowadził mnie na plebanię, gdzie spotkałem wielu ludzi naznaczonych rybą. Byłem zbyt oszołomiony, by racjonalnie myśleć. Pamiętam, że witałem się z nimi serdecznie; szybko udzielił mi się ich pogodny nastrój, pełen nadziei i ufności.

Cały swój czas dzieliłem pomiędzy wspólnotą a szpitalem, który po ostatnich wydarzeniach pękał w szwach; na szczęście sam budynek został ominięty przez katastrofę. Z bólem serca patrzyłem na tych wszystkich ludzi, którzy stracili bliskich, jednak wciąż o nich wypytywali w nadziei, że być może udało im się ujść z życiem. Nasz personel również był mocno zdziśnięty – wielu moich kolegów zginęło albo zostało trwale okaleczonych.

Pewnego wieczora, gdy siedziałem na stołówce, zobaczyłem w telewizji program, w którym wypowiadał się polski profesor, Roman Lityński:

- Z niewiadomych przyczyn spłonęły wszystkie trawy na ziemi. W tym zboża. Raporty są zatrważające; czeka nas głód, ponieważ nie ma z czego robić mąki, nie ma czym karmić zwierząt. Cały czas próbujemy obsiewać pola tym, co pozostało w spichlerzach, jednak to wszystko kropla w morzu potrzeb. Tak naprawdę minie kilkadziesiąt lat, zanim uda nam się powrócić do względnej równowagi, ale w tym czasie może dojść do strasznych rzeczy. Obawiam się, że już teraz, pomimo że pozostało jeszcze trochę zapasów, ceny żywności pójdą drastycznie w górę. Podejrzewam, że w związku z brakami w zaopatrzeniu, dostawy do krajów trzeciego świata zostaną ograniczone, bądź wstrzymane całkowicie.

Wyłączyłem telewizor i pomyślałem ze współczuciem o tych wszystkich, którzy cierpią głód. Jako wychowanek domu dziecka, niechciany przez własnych rodziców, doskonale znałem warkot pustego brzucha. Pomyślałem o tych wszystkich, którzy zginą z głodu. Próbowałem wmówić sobie, że na świecie zawsze był głód, ale uświadomiłem sobie, że nigdy na taką skalę.

Przez kilka miesięcy był spokój, chociaż rządy podejrzliwie patrzyły sobie na ręce. Gdyby to przedziwne zjawisko miało miejsce tylko w jednym kraju, wówczas pewnie zaczęto by doszukiwać się spisku. A tak, każdemu się oberwało. Oszacowano, że zniszczona została jedna trzecia planety. Na każdym kontynencie, poza Antarktydą, odnotowano krwawo ognisty deszcz. Widać Bóg z jakichś przyczyn lubi pingwiny...

Byli tacy, którzy – jak poznany w szpitalu Mike - obstawiali inwazję obcych i tych było chyba najwięcej. Bo deszcz meteorytów na całej powierzchni Ziemi wykluczono. Wielu ludzi, mimo swojego wcześniejszego, wulgarnie ateistycznego nastawienia, powróciło do wyznawanych wcześniej religii. Kościoły na nowo wypełniły się wiernymi. Nawet islamiści spasowali z atakami terrorystycznymi. Przywódcy religijni byli pełni obaw; to na ich barkach spoczęło uspokojenie przerażonej dziatwy. Z tym, że sami odczuwali taki sam strach i na nic nie zdała się ich wiara. Była za słaba. Tylko garstka ludzi patrzyła w przyszłość z podniesionym czołem. Ci, którzy wierzyli prawdziwie, z dziecięcą ufnością. Otrzymali znak i obietnicę, że nie stanie im się żadna krzywda.

Minął jakiś rok od Pierwszej Trąby. Ludzie powolutku, mozolnie, zaczęli odbudowywać swój świat, jednak wielu rzeczy nie dało się uratować. Spłonęła cała Amazonia, pół tajgi syberyjskiej i mnóstwo innych, pięknych lasów. Szybko przekonaliśmy się, że wrzaski ekologów względem zielonych płuc świata tym razem były zasadne. Powietrze było aż szare. Na całym świecie wprowadzono kosmiczne podatki od posiadania samochodu. Zmiany wywołały straszne burze przyzwyczajonych do wygody obywateli. Kilka rządów zostało obalonych, ale ci, którzy zajęli miejsce poprzedników szybko zostali odwiedzeni od oddania społeczeństwu aut. Wiele firm przemysłu ciężkiego zbankrutowało po wejściu w życie nowych regulacji, dotyczących ograniczeń emisji dwutlenku węgla do atmosfery i kar za niestosowanie się do zaleceń.

Gdy zabrzmiała druga trąba, ludzie już wiedzieli, że zdarzy się coś strasznego i szybko szukali schronienia. Widzieli błyski na niebie, lecz tym razem pociski ominęły miasta. Za to zatoki wyrzuciły na brzeg tysiące martwych ryb. Woda zaczerwieniła się od krwi. Nie potrafię sobie wyobrazić żalu tych wszystkich, którzy właśnie w wodzie upatrywali swojego wybawcy. Morze karmiło ich, gdy ziemia przestała. A teraz i to im odebrano.

Trzecia trąba nie zwlekała i zagrzmiała niespełna miesiąc później. Kolejne płomienie spadły na rzeki i źródła, czyniąc ich wodę gorzką i trującą. Rośliny, które pozostały po zeszłorocznej katastrofie, zaczęły więdnąć, wielu ludzi, spragnionych i błagających o choćby kropelkę, pomimo ostrzeżeń, skusiło się na piołunowy napój. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Bolesna i długa agonია czekała wszystkich, którzy, złąknieni, poddali się pokusie. W krótkim czasie wymarło wielu mieszkańców Afryki, południowej Azji i Australii. Ludzi

było tak niewielu, że nie miał kto chować zmarłych, toteż zaraza, jaka się rozprzestrzeniła, zabrała ze sobą kolejne miliony istnień. A to był dopiero początek...

Gdy usłyszano Czwartą Trąbę, ziemię przykrywał śnieg. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Ludzie z przerażeniem zwracali oczy ku niebu, lecz tym razem nic na nim nie zajaśniało; przeciwnie, księżyc stracił swój blask a gwiazdy gasły jedna po drugiej. Poranne słońce również nie dawało zbyt wiele światła. Tam, gdzie zawsze panował gorąc, nagle pojawił się mróz. Biały puch bardzo szybko przykrył całą planetę, zamieniając ją w zmarzlinę. Mówiono, że najgorszy był luty; wtedy na równiku najwyższa temperatura nie przekraczała zera stopni Celsjusza.

Maj przywitał świat chłodem, jakiego nie powstydzilby się styczeń. Nawet nie chcę myśleć, ilu ludzi wtedy zamarzło. Ilu umarło zwyczajnie z głodu. Słyszałem, że w niektórych miejscach było już tak źle, że zaczęto zjadać starych, chorych i małe dzieci. Przeżywali tylko najsilniejsi, którzy potrafili się obronić i ci, którzy byli na tyle podli, by polować na innych. I wtedy nad każdym domem, nad każdą wsią i miastem przeleciał czarny orzeł, krzyząc: "Biada, biada, biada mieszkańcom ziemi wskutek pozostałych trąb trzech aniołów, którzy mają zatrąbić!"

Lęk padł na wszystkich jak cień potwora spod dziecięcego łóżka. Już dawno zniknęli ci, którzy wątpili w istnienie Boga. Nagle wszyscy wznosili ku Niemu błagalne dłonie, modląc się o wybawienie. Ale na to było już za późno. Teraz nadszedł dzień sądu.

Piąta Trąba przyniosła ze sobą szarańczę. Obudziło mnie bzyczenie i stukanie w szybę. Blade słońce ledwo przebijało się przez chmury. Szczęście, że nie zabrano nam go w całości!

Za oknem fruwały setki dziwnych owadów, wielkością dorównujących krukowi. Jeden z nich za mocno uderzył o szybę i padł martwy. Podniosłem go z parapetu. Napawał mnie odrazą i obrzydzeniem. Przypominał szarańczę, tylko dużo większą. Miał koński łeb o ludzkiej – o zgrozo – twarzy. Na kark spływały mu złote, miękkie włosy. Całe ciało pokrywała stalowa łuska, z lędźwi wyrastał skorpion ogon. Krew odpłynęła mi z twarzy. Nigdy nie widziałem takiego bydlęcia.

Zszedłem do stołówki, w której wszyscy siedzieli, zgromadzeni przed porannymi wiadomościami na 56 kanale. Spikerka drżącym głosem relacjonowała przebieg plagi. Na cały świat rozpełzła się jadłowita szarańcza. Bardzo wielu ludzi zostało ukąszonych. Nieomal natychmiast dostawali wysokiej gorączki, całe ciało palił niewyobrażalny ból. Z jednej strony żal było mi tych bezbożników, z drugiej wiedziałem, że być może dzięki temu doświadczeniu się nawrócą.

W kieszeni zabrzmiał mi pager, więc pognałem jak najszybciej do szpitala. Tam zobaczyłem ogrom plagi. Poczekalnia była pełna; jęk bólu

przywiódł mi na myśl obrazy Boscha – brakowało tylko, by ludzie zaczęli się wic w splotach jak węże. Zdawałem sobie sprawę, że nic nie jest w stanie umniejszyć ich cierpienia. Ci, których jakimś cudem ominęły jadowite ukąszenia, czepiali się mojego rękawa, błagając, by najpierw obejrzeć ich najbliższych. Gdzieś w oddali przebiła się kłótnia kilku osób o to, kto był pierwszy w upiornej kolejce. Panował tu totalny chaos, niewiele brakowało do otwartej bijatyki tych, którzy stali na nogach. Nie miałem pojęcia, co mogę zrobić.

To był miesiąc wyjęty z życiorysu. Bracia i siostry ze zgromadzenia dzielnie pomagali mi przy pogryzionych, chociaż trochę starając się złagodzić ból. Wiedzieliśmy, że jad nie jest śmiertelny i mieliśmy świadomość, że jego działanie jest długotrwałe. Mimo, że zmienialiśmy się na warcie przy chorych, każdy był wycieńczony. Najgorsza była bezsilność.

Pięć miesięcy później cały świat zdumiał się, że epidemia minęła jak ręką odjął. Ja tylko uśmiechnąłem się pod nosem; przecież Pan przez Swego sługę, Jana, wyraźnie powiedział, że tak będzie.

W styczniu, niedługo po usłyszeniu przez świat kolejnej Trąby, trafił do nas żołnierz, który służył nad Eufratem. Nie chciał powiedzieć, jak udało mu się dotrzeć za ocean, a my nie naciskaliśmy.

Pewnego dnia John przysiadł się do mnie, gdy akurat piłem kawę.

– Mogę?

– Pewnie. Cieszę się, że wreszcie będziemy mogli porozmawiać. - Uśmiechnąłem się. Miał matowe oczy osoby, która widziała i przeżyła straszne rzeczy.

– Muszę z kimś pogadać, bo chyba zwariuję.

– Mam nadzieję, że jakoś będę mógł ci pomóc. Jestem Raven.

– John. Ale to pewnie już wiesz. - Zamilkł i wpatrzył się w stół, jakby liczył sęki na blacie. - Byłem tam, gdy pojawili się prawdziwi Boży bojownicy, wywołani ostatnią trąbą. Wyszli z wody. Rzeka się wzburzyła i wypłuła z siebie tę cholerną kawalerię. W życiu nie widziałem czegoś takiego. To bez wątpienia były anioły; miały wielkie, białe skrzydła, wysokie hełmy i czerwone płaszcze, spływające na złote zbroje. Ich pancerz był dziwny; wyglądał, jakby w stali zaklęte były płomienie. A może to tylko błyskało słońce?

Wpadli pomiędzy ludzi, tnąc na lewo i prawo. Nasi szybko połapali za giwery i zaczęli pruć do przeciwników. Kilku padło od razu, spadając z siodeł. Konie, jeżeli o tamtych bydlętach mogę powiedzieć, że były końmi, wściekły się, gdy zabili ich panów. Nie rżały – wydawały z siebie okropny ryk. Potrząsały lwimi grzywami, przy każdym parsknięciu z chrap wydobywał się gryzący, cuchnący siarką dym. Zupełnie, jakby nie były anielskimi wierzchowcami a bestiami rodem z piekła. Nic z tego nie rozumiałem, cała ta rzeź niewiele miała wspólnego ze znanym mi wizerunkiem Boga i aniołów. Stałem jak kretyn, z jednej strony chcąc pomóc tym ludziom, z drugiej nie ośmielając się podnieść ręki na wysłanników Pana. Nic, kurwa, nic nie mogłem zrobić, rozumiesz to? -

Ukrył twarz w dłoniach. Na jego przegubie świeciła ryba.

- Wszystko zostało zapowiedziane – powiedziałem po chwili.
- Pierdołę przepowiednie! Tam zginęli dobrzy, niewinni ludzie! Czym mogli się narazić Bogu?! Zamordował ich, Raven, zamordował z zimną krwią! W imię czego? Na pewno nie odkupienia!
- Nie bluźnij. Jesteś jednym z żołnierzy Pana, nie wolno ci wątpić. - Spojrzał mi w oczy ze stalową determinacją. Wstał bez słowa i wyszedł. Widać nie znalazł u mnie tego, czego szukał.

Na świat spadła globalna wojna. Anioły szły ze wschodu, mordując na swojej drodze wszystkich, którzy nie mieli znamienia. To był czas zwątpienia nawet dla nas. W telewizji widziałem karne wojska, czołgi i samoloty bojowe. Wszystkie kraje zjednoczyły się w walce ze wspólnym wrogiem. Przeraziłem się, gdy anioły zaczęły przegrywać; coś poszło nie tak.

- Przyszedł czas trudny dla nas wszystkich. Czas, w którym musimy się zjednoczyć. Bez tego zginie. Przyznam się wam, że nie wiem z czym walczymy, ale na pewno nie są to ludzie. Nie jestem przekonany również o inwazji obcej cywilizacji, cały czas jednak tonimy w spekulacjach kim są napastnicy. Wiele mówi się, że rozpoczęła się Apokalipsa, taka prawdziwa, jaką wskazuje Pismo Święte. Ja jednak nie skłaniam się ku temu stwierdzeniu nie dlatego, że nie wierzę w istnienie Boga, ale dlatego, że nie wierzę, że Bóg mógłby być tak okrutny. Z natury jest dobry, nie zabijałby bestialsko swoich dzieci – czyli nas, ludzi. Wierzę natomiast, że jest przy nas w tych trudnych chwilach i pomoże nam w walce o człowieczeństwo! - Młody, przystojny mężczyzna grzmiał z ekranu telewizora. Zaczesał dłonią czarne włosy, sięgające ramion. Wpatrzył się wprost w kamerę. Trzeba przyznać, że miał hipnotyzujący wzrok, jak wąż.
- Dzisiejszy dzień jest dniem wielkim – perorował. Wielki, złoty sztandar, na którym wyhaftowany był czerwony, siedmiogłowy smok – symbol zjednoczonych w walce siedmiu kontynentów – powiewał za jego plecami na wietrze
- Podpisana karta porozumienia militarnego i gospodarczego jest prawdziwą rewolucją polityki ogólnoświatowej. Po raz pierwszy od początku istnienia wszystkie kraje przystąpiły do współpracy, deklarując oddanie sprawie, jaką jest powstrzymanie wroga przed eksterminacją ludzi i odbudowę Ziemi.

Lucjan Ferris, Przewodniczący Rady Światowej opuścił podium wśród wrzawy wiwatów i szumu oklasków. Zaraz potem wyemitowano transmisję z frontu, gdzie bombowce ostrzeliwały – dość skutecznie, trzeba przyznać – anielską konnicę. Wielu spośród niebiańskich żołnierzy poległo, lecz nic nie mogło złamać ich morale. Rzucali się na czołgi, a gdy nie mogli przebić ich mieczami, wierzchowce ziały ogniem i siarką, rozpuszczając metal i zamieniając maszyny, wraz z siedzącymi wewnątrz ludźmi, w bulgoczącą maź. Nagle światło zgasło. Wyjrzałem przez okno; na całej ulicy nie było prądu. W

oddali, bardzo, bardzo daleko, zobaczyłem atomowego grzyba.
"Boże, miej mnie w swojej opiece" – pomyślałem.

1010 lat po przejściu panowania nad światem przez Bestię.

Z klubu wyszedłem dobrze po północy. Tuż obok, uczepiona mojego ramienia, szła jakaś naćpana dziewczyna. Nie pamiętałem nawet jej imienia. I tak nie miało większego znaczenia. Chyba była ładna, nie wiem, byłem tak pijany, że nawet szczerbata kobyła wydawałaby mi się miss świata. Toczyliśmy się powoli, od krawężnika do krawężnika, wprost do mojego domu. Droga nie była daleka, ale zajęła nam sporo czasu. Chwiejnym krokiem pokonaliśmy skrzypiące schody. Oparłem dziewczynę o ścianę, żeby nie spieprzyła się z powrotem na parter i zacząłem szukać kluczy w kieszeni skórzanej kurtki. W końcu znalazłem. Zamek stawiał większy opór, niż laseczka, którą ze sobą przyprowadziłem; jeszcze w progu zaczęła dobierać mi się do rozporoka. Ostudziłem jej zapal uderzeniem otwartej dłoni w policzek. Niechcący rozciąłem dziewczynie wargę, przewróciła się, ale chyba lubiła ten sport, bo zachichotała i oblizła lubieżnie usta, patrząc mi zadziornie w oczy. Uśmiechnąłem się, szczerząc zęby, schyliłem się do niej, złapałem za włosy i mocno pocałowałem. Uczepiła się mojej szyi. Wziąłem ją na ręce, niby z czułością, a potem rzuciłem bezceremonialnie na łóżko. Zaśmiała się głośno i pogroziła mi zabawnie palcem. "Oj, kotku, zaraz ja pogrozę ci swoim" – pomyślałem i rozerwałem różową bluzeczkę, uwalniając drobne, jędrne piersi. Przygryzła paznokieć i zaczęła wodzić dłonią po sutkach, aż te stały się przyjemnie twarde. Szybko zrzuciłem kurtkę i bluzę. Utknąłem przy klamrze od paska. Kurwa! Trzeba było pozwolić jej uporać się z tym cholerstwem. A ona nadal drażniła mnie, pieszcząc się coraz śmielej. Przejechała ręką w dół, pod spódniczkę. Po chwili zsunęła czarne, koronkowe majtki, jednak plisowana szmatka nadal zasłaniała zgrabny tyłek. Przyklęknęła i drobnymi paluszkami pomogła mi oswobodzić się z jeansów.

Ranek przywitał nie bólem głowy. Sięgnąłem po komórkę, ale natrafiłem na pustkę. Z ociąganiem otwarłem oczy i rozejrzałem się po mieszkaniu. Laptop, play station, wszystko, co niewielkie a wartościowe – zniknęły.

– Co za głupia pizda! - krzyknąłem, zrywając się z łóżka. Sam byłem sobie winien, przecież doskonale wiedziałem, że nikomu nie należy ufać, zwłaszcza nowo poznanym osobom. Ale wczoraj byłem zbyt pijany, by myśleć racjonalnie. Złamałem swoją najważniejszą zasadę: nie wpuszczaj nikogo do domu. I teraz będę musiał za to zapłacić. Szczęście, że zostawiła mi chociaż skórę. Ubrałem się szybko i sięgnąłem do kieszeni, w poszukiwaniu telefonu. Już wiecie? Zniknął. Kac przeszedł w stan uśpienia, wyparty nową dawką adrenaliny. Chciałem zapalić papierosa, ale wszystkie fajki też ulotniły się jak kamfora.

– Kurwa! - wrzasnąłem, wywracając stolik. Spojrzałem we wściekle zielone

oczy Przewodniczącego Rady Światowej, którego portret powiesiłem sobie dawno temu na ścianie. Naprawdę lubiłem tego gościa; spryciarze, tacy jak ja, żyli całkiem przyzwoicie, nieudacznicy mieli to, na co zasłużyli - nic. Można było się świetnie zabawić. Aż nie chce mi się wierzyć, że kiedyś ludzie musieli ukrywać się z prochami czy innymi przyjemnościami. Praktycznie co noc miałem inną dziewczynę albo kilka. Ale do tej pory żadnej nie przyprowadziłem do siebie. Hotel, szybki numer i do domu. Ewentualnie miły wieczór u niej, przyjemne śniadanko, buzi buzi, tak, kotku, jesteś cudowna, na pewno zadzwonię, a potem długa.

Co jak co, ale byłem wyjątkowo przywiązany do swoich rzeczy. Pozostało mi mieć nadzieję, że ta tępa szmata gdzieś opchnęła towar. Poszedłem więc do Roberta, skurwiałego pasera, który handlował wszystkim. W podziemiu mówiło się, że sprzedał własną matkę na organy którejś z Korporacji. O dziwo, nie był zrzeszony z żadną mafią a jednak utrzymywał się w branży, mało tego, handlował przynajmniej z trzema rodzinami, kręcącymi swoje lody w Republice. I to największymi. Dawało mu to bezpieczeństwo i bezpośredni dostęp do kilku Korporacji, w których spore wpływy – zarówno finansowe, jak i pozycyjne – mieli jego sojusznicy. Dobrze było mieć takiego przyjaciela.

Robert nie był jakimś szczyłem, siedzącym w zapuszczonej kanciapie. On był biznesmenem. Od przyjmowania towarów miał swoich ludzi.

Zajrzałem do kilku klubów, w których lubił przesiadywać, aż w końcu trafiłem na niego w kasynie. Właśnie obstawiał czarną trzynastkę w ruletce. Gdy podszedłem, kulka zatrzymała się na czerwonej ósemce.

– Widzę, że jak zawsze dobrze ci idzie. - Podałem mu rękę.

– Weź spierdalaj, Michael. - Odpalił cygaro. - Pojebana gra. Czego chcesz?

– Robert, tak od razu, bez gry wstępnej? - zarechotałem i ruszyłem w kierunku baru.

– Dwie setki Single Barrela, tylko nie waż mi się tam sypać lodu – warknąłem na barmana. Wziąłem drinki i przysiadłem się do stolika Roberta. Siedział w towarzystwie dwóch uroczych kobiet, czule głaszczących jego łysinę i tłusty, świński kark. W ogóle przypominał tuczno knura, ale nie znałem nikogo na tyle odważnego albo pojebanego, żeby mu to powiedział w twarz. Poprawka: Robert siedział w towarzystwie trzech kobiet, ale jedna miała miejscówkę pod stołem, pomiędzy jego nogami. Zauważyłem ją dopiero, gdy trafiłem butem w jej plecy.

– Czy ona może przestać, gdy chcę z tobą pogadać o ważnych rzeczach?

– Słyszałyście? - wrzasnął na dziewczyny. - Wypierdalać! - Kurewki pospiesznie oddaliły się. Odprowadziłem je wzrokiem, bo naprawdę było na co popatrzeć.

– Mów, o co chodzi? - Przeplukał usta piekącym płynem i uśmiechnął się do mnie.

– Ktoś mnie ojebał.

– Żaden z moich.

- Wiem. Poznałem wczoraj jakąś laskę, no wiesz, poszliśmy do mnie... - Robert zaczął się panicznie śmiać, poklepując kolano, Aż się posmarkał.
- Ty kretynie! Ciesz się, że nie zarznęła. Co ci dmuchnęła?
- Plejkę, lapka, zegarek, trochę szmalu i wisiorek po babci. To ostatnie mogę olać. Słuchaj, jakby coś pchnęła któremuś z twoich chłopców, to daj znać... - powiedziałem i pacnąłem się ręką w czoło. - Kurwa, telefonu też nie mam.
- Jakies znaki szczególne? Wiesz, raczej nie przyjdzie i nie powie: „rypnęłam te fanty takiemu jednemu frajerowi, Michaelowi, ile mi za to dacie?”
- Niższa ode mnie, jakieś metr sześćdziesiąt wzrostu, małe cycki, ładna buźka, ciemne włosy...
- No to opisałeś jedną czwartą dziewczyn...
- Miała czarny tatuaż na przegubie, jakąś rybę, czy innego chuja. - Uśmiechnął się.
- Czekaj, czekaj, wujek Robert zaraz się wszystkiego dowie. - Wstał, poprawił spodnie, zapiął pasek, odznaczający się na jego brzuszku jak równik na globusie i wyszedł. Zostałem sam z rudą whiskey.

Jenny właśnie wyszła z ciemnej uliczki, wepchnęła wypchaną pieniędzmi rękę do kieszeni płaszcza, pochyliła głowę i ruszyła szybkim krokiem do domu. Lepiej nikomu nie patrzeć w oczy, lepiej nie prowokować...

Weszła do niewielkiego mieszkanca i zamknęła dokładnie drzwi. Nigdy nie wiadomo, kto może pałętać się po klatce schodowej. Jej brat spojrział na nią ze zdjęcia karcąco i z dezaprobatą.

- Wiem, Jacob, że nie powinnam. Ale takie są czasy, braciszku. Odkąd ciebie nie ma, wszystko jest trudniejsze. Niestety, nie mam tyle siły co ty, aby przeżyć, trzeba się dostosować. - Uśmiechnęła się przepraszająco i wzięła ramkę w ręce, głaszcząc palcem policzek Jacoba. Odstawiła pamiątkę i jej wzrok padł na szerniałe znamię na ręce. Kiedyś dodawał otuchy, teraz, gdy upadła wraz ze staczającym się światem, zgasł, odbierając szanse na raj.

- Ha, chłopcze, wiesz mi zajebistą przysługę! Mam twój telefon. Była dzisiaj rano u jednego z moich ludzi. Kazałem chłopakom ją namierzyć. - Klepnął mnie w ramię, prawie wgniatając w sofę.

- Stary, jesteś nieoceniony.

Jakies trzy godziny później Robert odebrał telefon i zamienił z kimś kilka krótkich, zdawkowych zdań.

- Mamy ją. – Uśmiechnął się paskudnie.

Wyszliśmy z klubu i wsiedliśmy do mobila Roberta. Auto gładko uniosło się nad ziemię i pomknęło pod wpisany adres. Po kilku chwilach już cieszyłem się swoim telefonem, zabranym z jednej z dziupli mojego wybawcy. A zaraz potem zatrzymaliśmy się przed obdrapaną kamienicą.

- Pierwsze piętro, numer 19 – powiedział Robert. Wysiadłem z auta i z

mordem w oczach wszedłem do budynku. Mknąłem po schodach jak szalony. Drzwi numer 19 szybko stanęły otworem, po solidnym kopniaku. Mała kurewka, którą spotkałem wczoraj, wrzasnęła i rzuciła się do komody, pewnie jak każdy żywy obywatel, właśnie tam trzymała broń. Złapałem ją za włosy i cisnąłem o ścianę.

– Ty tępą pizdo! - Kopnąłem ją w brzuch. - Myślałaś, że możesz mnie wychujać? - Darłem się, cały czas okładając dziewczynę, na przemian butami i pięściami. - Myślałaś, głupia kurwo, że cię nie znajdę? - W końcu zmęczyłem się i na chwilę odpuściłem. Z naprzeciwka przez otwarte drzwi przyglądała nam się jakaś babcia.

– Czego się gapisz? - wydarłem się na nią. - Wypierdalaj! - Staruszka posłusznie wróciła do swojego mieszkania i przekreśliła klucz w zamku. Rozejrzałem się po pokoju; natrafiłem na zdjęcie człowieka, którego kiedyś znałem.

To było dziesięć lat temu, byłem wtedy dwudziestoletnim gówniarzem, który myślał, że jest sprytny. Czas pokazał, że się nie myliłem, ale mniejsza o większość. Poznałem Jacoba na jakiejś wspólnej imprezie. Był kurewskim dziwakiem; nie brał, nie palił, od alkoholu i panienek stronił. Później dopiero dowiedziałem się, że był w sekcji tych pojebów, którzy wierzyli, że niebawem ich Bóg ma wrócić na ziemię i spuścić wpierdol jakiejś Bestii i jej sługusom. Ja jakoś nigdy nie spotkałem żadnego bydlęcia; oczywiście wiedziałem, że kiedyś na ziemi żyły zwierzęta, widziałem nawet kilka na obrazkach. Bez problemu potrafiłem rozpoznać psa, kota czy konia. Podobno ludzie kiedyś jedli ich mięso, ale nie rozumiem, w czym miało być lepsze od naszych syntetycznych, doskonale zbilansowanych puszek, tworzonych przez jedną z Korporacji.

No więc "rybacy" – jak ich nazywano – wyczekiwali na jakiś anielski orszak z wielkim motherfuckerem na czele. O dziwo, doczekali się. Zaciągnąłem się do Armii Przewodniczącego Rady Światowej. Korporacje dostarczyły nam broń, podobno specjalnie szykowaną na tę okazję. Czyli te skurwysyny na górze doskonale wiedziały, co się święci. Jacob, jak się okazało, razem z resztą "rybaków" stanął po stronie „aniołów”.

To była gruba impreza, flaki latały na lewo i prawo, bo te pojeby nie używały cywilizowanej broni plazmowej, tylko mieczy. Ale za to umierali, jak Bóg przykazał.

Największym plusem całej tej zadymy były darmowe dragi. Do końca nie jestem przekonany, czy to faktycznie były anioły, czy mityczni Chińczycy, którymi kiedyś nas straszono, wpełzli ze swoich bunkrów, ukrytych gdzieś na oderwanym kawałku Azji. Z resztą, nie ważne z czym walczyliśmy, odlot był niezły. Nie wiem, co za gówno nam dali, ale było zajebiste.

W pewnym momencie zobaczyłem jakiegoś gigantycznego skurwiela z siedmioma parami pierzastych skrzydeł, który rezał lepiej, niż największy skurczybyk z tej nowej gry. Jednym cięciem posyłał kilkunastu naszych do

piachu. Ładował pomiędzy ludźmi, kosił mieczem, a resztę zamiatał skrzydłami, wszystko w pięknym, płynnym piruecie. Wzbił się w niebo i wtedy spomiędzy chmur pierdolnęła w niego rakietą z wymalowanym na boku czerwonym, kilkugłowym smokiem, symbolem Zjednoczonej Republiki.

„Anioł” eksplodował, ochlapując nas deszczem krwi, mięsa i wnętrzności. Pozlepiane posoką pióra powoli opadały na ziemię, jakby ktoś wybebeszył wielką poduszkę. Armia wroga zatrzymała się zaskoczona, zbierając szczęki z butów.

Krzyknęliśmy radośnie i natarliśmy na kurczące się niebiańskie wojsko. Plazmowe pistolety wyrzucały z siebie fosforyzujące pociski, wypalając wielkie dziury w ciałach trafionych. Wtedy stanąłem naprzeciw Jacoba. Nie zawahałem się; nacisnąłem na spust i po chwili mogłem przez otwór w jego klatce piersiowej zobaczyć "rybaka" stojącego za nim.

Wielka, boska odsiecz, na którą czekali ci popaprańcy skończyła się po niespełna miesiącu walk. Fakt, nikt z nas dokładnie nie pamiętał z czym walczyliśmy. Każdy widział wszystko nieco inaczej, gdy rozmawialiśmy później przy piwku nasze relacje się różniły. Ale wszyscy byliśmy pewni jednego: pod sztandarem smoka byliśmy niepokonani, nie ważne, czy łomot będą chcieli spuścić nam Chińczycy, Marsjanie czy faktycznie Bóg i jego przydupasy.

Nadal trzymałem zdjęcie Jacoba w ręku i przyglądałem się spokojnym oczom. Zawsze wkurwiały mnie te jego łagodność i naiwność. Naprawdę wierzył, że ludziom należy pomagać. Życie chyba go nie nauczyło, że masz tylko to, co jesteś w stanie wyszarpać i obronić.

Wziąłem zamach i roztrzaskałem ramkę o ścianę. Dziewczyna zaczęła odzyskiwać przytomność. Złapałem ją za bluzę i pociągnąłem za sobą po schodach w dół, jak Krzys Kubusia Puchatka. Próbowwała się bronić, ale była zbyt słaba. Wpakowałem ją na tylne siedzenie, związując ręce na plecach, sam siadłem obok Roberta.

– Myślę, że wiem jak ci się odwdzięczyć – powiedziałem, zapalając papierosa. Robert uniósł brwi. - Sprzedaj ją komuś ze swoich kolegów z Korporacji. Świeże serduszko czy nerczka na pewno szybko znajdą nowego, dzianego właściciela.

– Moja sława mnie wyprzedza – mruknął pod nosem, szczerząc się paskudnie. Odwrócił się do dziewczyny i puścił jej oczko. - Ale mam lepszy pomysł, skoro ty jej nie chcesz. - Zaciągnął się dymem, rozkoszując się przerażeniem dziewczyny, którą obserwował w lusterku – W burdelu lepiej na siebie zarobi.

– Mój Boże – szepnęła przerażona. Na jej nadgarstku przez króciutką chwilę zalśniła błękitna ryba, lecz zgasła tak szybko, jak się pojawiła. Odwróciłem się do niej i odpowiedziałem:

– Dziecino, Bóg umarł. Zajebaliśmy go!

Anioł Stróż

- Thomas był moim pierwszym podopiecznym. Byłem strasznie podekscytowany rolą, jaką mi przeznaczono; do tej pory nie miałem żadnej styczności z ludźmi, słyszałem o nich różne opinie z ust przyjaciół, jedne lepsze, inne gorsze. Choć tych drugich zdecydowanie więcej. Ja dopiero miałem się przekonać, jak jest naprawdę, dlatego z olbrzymią niecierpliwością oczekiwałem pojawienia się MOJEGO człowieka.

Urodził się jako zdrowy, silny chłopczyk i nic nie zwiastowało koszmaru, jaki miał mi zgotować. Gdy Thomas tylko nauczył się chodzić tupał wszędzie na swoich krótkich nóżkach, piszcząc radośnie. Był bardzo ciekawski, wszędzie było go pełno. Tego dnia mały Tom odkrył Schody. Była to dla niego przeszkoda nie do przejścia, bowiem mądrzy i zapobiegliwi rodzice odgradzili swoją pociechę od Schodów barierką specjalnie służącą do tego celu. Tommy uwielbiał stać przy barierce, i trzymając się jej, wesoło podskakiwać, śmiejąc się wniebogłose. Siedziałem zawsze obok, łykając kolejne pastylki na migrenę, które i tak nie pomagały, gdy nagle zauważyłem, że producent zabezpieczenia nie zadbał wystarczająco o jakość oferowanego klientom produktu. Jedna ze śrub odkręciła się i barierka, o którą opierał się chłopczyk, runęła w dół schodów. Chciałem go złapać, ale bardzo ciężko jest mi oddziaływać na fizyczne przedmioty czy ludzi (choć fizyczność świata nie ma z tym problemu względem mojej osoby - ja też często uderzałem się małym palcem u stopy w kanty mebli i bolało jak cholera), więc dziecko przeleciało mi przez palce. Niewiele myśląc, rzuciłem się pod niego, by zamortyzować upadek. Razem spadliśmy na parter. Przerazona matka, gdy tylko usłyszała rozpaczliwy płacz Thomasa, siedzącego bezradnie na podłodze, od razu znalazła się przy brzdącu. Podniosła go, przytuliła mocno i zawyrokowała, że trzeba jechać do szpitala, by zobaczyć, czy nic naprawdę mu się nie stało.

- To prawdziwy cud, proszę pani – powiedział wysoki mężczyzna w białym kitlu, oglądając prześwietlenie i badając ogólny stan malucha. I tak oto Thomas swój pierwszy upadek zakończył małym guzem, ja natomiast połamałem skrzydło w dwóch miejscach. Obolały i zły, wróciłem do domu, by nadal sprawować pieczę nad przydzielonym mi małym człowiekiem.

Innym razem, gdy Thomas obchodził swoje drugie urodziny, wpadł na genialny pomysł napicia się babcinej kawy. Dorośli, zajęci oglądaniem kolejnego filmiku z jubilatą w roli głównej, powszechnymi ochami i achami, jaki to on mądry, jak urósł, jak słodko się bawi i rozbrajająco uśmiecha, nie zauważyli nawet, że ich pociecha rażno paraduje z wielkim kubkiem wrzącego jeszcze napoju. Gdy to zobaczyłem, włos zjeżył mi się na głowie. Jedyne, co zdążyłem zrobić, gdy przechylił kubek, to podłożyć rękę przed jego usta, zasłaniając również szyję i brzuch. Naczynie wypadło z małych rąk, chłopiec zaniósł się płaczem i dopiero wówczas zwrócono nań uwagę. I znowu, po obejrzeniu ciekawskiego człowieczka uznano, że to cud, iż się nie poparzył. On nie. Mnie do tej pory pozostała na przedramieniu i dłoni pomarszczona blizna.

Przez dłuższy czas pilnowano go sumiennie, żywe srebro zawsze było pod czujnym okiem któregoś z opiekunów. Pewnego razu wybraliśmy się na plac zabaw. Ciocia Thomasa lepiła z nim babki z piasku, kręciła na karuzeli, czuwała, gdy zjeżdżał ze zjeżdżalni. Usłyszała dzwonek telefonu i zaczęła poszukiwać go w przepastnej torebce, spuszczając z oka Tommy'ego tylko na moment. To wystarczyło, by chłopczyk podbiegł do rozbujanej huśtawki, która już, już, pędziła z niemałą prędkością ku jego brodzie. Rzuciłem się, niby najlepszy bramkarz, zbierając cios na siebie i przewracając malucha. Ten oczywiście rozbeczał się, gdy klapnął na tyłek. Poza tym nic mu się nie stało. Ja natomiast straciłem górną jedynekę i potężnie rozbiłem wargę. Miałem serdecznie dość. W myślach złorzeczyłem temu małemu potworowi, ale zaraz ogarnął mnie straszny wstyd; nie powinienem był przecież, mam go chronić, takie jest moje zadanie przydzielone przez Pana, po to powstałem. Chociaż w tamtych chwilach chyba wolałbym być Turkuciem Podjadkiem. Albo amebą.

Nie jestem w stanie zliczyć, ile razy oberwałem, pilnując mojego podopiecznego. Byłem totalnie zrezygnowany, machinalnie odpychałem go z toru lotu kamienia, rzuconego przez kolegę z sąsiedztwa, podsadzałem, gdy uciekał przez płot przed rozjuszonym psem właściciela sadu, gdzie z przyjaciółmi kradli niedojrzałe jabłka. Oczywiście kamień uderzał wtedy w moją głowę a kundel szarpał łydki. Najgorsze jednak miało dopiero nadejść. Młody człowiek rósł jak na drożdżach i tak oto stał się na tyle duży, by, ku mojemu utrapieniu, sprawić mu kolejną machinę zagłady – rower. Rower, jak to rower, miał dwa koła, pedały z odblaskami, był kolorowy, a u kierownicy pysznił się upiorny klakson. Wspominałem o migrenach? Teraz wrzaskliwa

kakofonia dobywająca się z piszczałki rozsadzała mi czaszkę od środka. Mimo to zawsze byłem w pobliżu Thomasa, gotów ochronić go własnym ciałem przed każdym niebezpieczeństwem. Od samego rana miałem złe przeczucia. Byłem pewien, że Tommy wywinie mi jakiś numer. I nie zawiódł moich oczekiwań. Wraz ze swoim najlepszym przyjacielem, Dominikiem, urządzili wyścigi. Może nie byłoby w tym nic złego, gdyby jeździli po parku albo na podwórku któregoś z nich. Ale nie; chłopcy wpadli na concept, że z górki będą jechać szybciej. Jak postanowili, tak zrobili. Szkoda, że żaden z nich nie pomyślał o wpadnięciu z dużą szybkością na ruchliwą ulicę, która wieńczyła ich trasę morderczą metą. Siedziałem na trawie i leniwie żułem soczyste żdźbło, gdy przemknęli obok mnie na swoich wehikułach. Aż pióra mi zafurczały. Odprowadziłem ich wzrokiem i wtedy dopiero dostrzegłem, że pędzą wprost na jezdnię. Zerwałem się jak oparzony i pognałem za nimi. Rozłożyłem skrzydła i z trudem parłem pod wiatr. Chłopcy już, już prawie dojechali.

- Psiakrew, cholerny bachor! – Anioł o czarnych jak sadza włosach zrównał się ze mną w locie i razem popędziliśmy na ratunek Tommyemu i Dominikowi. Nie było czasu na jakąkolwiek ocenę sytuacji. Rowery nieomal wjechały na dwupasmówkę. Jedyne, co mogłem zrobić, to wylądować tuż przed Thomasem. Tak też zrobiłem; uderzył we mnie całym impetem, spadł z siodełka, upadając koło krawężnika, ja natomiast poleciałem w tył. Tuż przed gnającą ciężarówką.

Pobył w anielskim uzdrowisku wspominam jako upragnione wakacje. Połamane skrzydła długo nie chciały się zrosnąć, pęknięty piszczel lepiej radził sobie z rekonwalescencją. Współczułem biedakowi, który mnie zastępował, ale nie mogłem odmówić sobie tych chwil lenistwa. Zwłaszcza, że umilone były wykradzionym czasem spędzonym z prześliczną anielicą, która się mną opiekowała. Chociaż raz ktoś troszczył się o mnie. Była ciepła, życzliwa, pruderyjna i dobra. Zakochałem się, tak po prostu. I zaraz potem musiałem wrócić do mojej zmory. Tęskniłem za skrzydlatą pięknoscia, przez co byłem mniej uważny. I wtedy właśnie Thomas złamał nogę. Spadł z roweru. Przygoda z szosą niczego go nie nauczyła. Postanowiłem, że teraz będę dbał tylko o jego zbawienie, a nie, jak do tej pory, zdrowie i życie. Miałem dość wiecznego bólu, jaki mi sprawiał, co z tego, że nieświadomie. Przestało mnie obchodzić, czy będzie jeździł na wózku, czy stanie się światowej sławy lekkoatletą. Przez swoją

poprzednią troskę nigdy już nie wzniosę się pod niebiosa, czując w piórach chłodny wiatr. Równie dobrze mógłbym uciąć sobie skrzydła tasakiem.

W szkole średniej pogodny dotąd i dobrze ułożony chłopak zamienił się we wcielonego diabła. Nie wiem, ile było w tym winy środowiska, w jakim zaczął się obracać a ile w nim samym. Myślę, że szukał akceptacji nowej grupy, chciał być tym najfajniejszym, najbardziej wyluzowanym i wystrzałowym. Tymczasem zamienił swoje życie i życie rodziców w prawdziwe piekło.

Zaczęło się niewinnie, od kilku papierosów wypalonych na szybko w ubikacji, wspólnie z kilkoma kolegami. Każdy zaciągał się niewprawnie i podawał fajkę dalej, następnemu. Następnie uznali, że szkoła jest nudna i do bani, więc postanowili przestać odwiedzać jej mury, przedkładając nad edukację smakowanie tanich trunków wielosiarkowocowych. A potem przyszedł czas na niewinną i zajebistą trawkę. Przyglądałem się temu wszystkiemu i zachodziłem w głowę, co się dzieje z tym człowiekiem, gdzie on ma rozum. Działała tylko wolna wola. Dokonywał coraz gorszych wyborów, na nic zdawały się łzy matki i krzyki ojca, na nic były dyrektorskie groźby wydalenia ze szkoły. Tom nic sobie z tego nie robił, śmiejąc się szyderczo wszystkim w twarz.

Teraz życie śmiało się w twarz jemu. Jak niewiele trzeba, by człowiek upadł! Pogrzebał wszystko żywcem, z szaleństwem w pijanych oczach kamienując rodzicielską miłość. Kolejny raz wrócił do domu nieomal na czworaka, jak zwierzę. Znowu dobijał się nocą do drzwi, bo nie mógł trafić kluczem do zamka.

- Spójrz na siebie! Co ty ze sobą robisz?! – wrzeszczał ojciec Thomasa, szarpiąc go za ramię

- Spierdalaj – wycedził w odpowiedzi przez zaciśnięte zęby, walcząc z nadpływającymi mdłościami.

- Nie, młody człowieku. To jest mój dom, w którym obowiązują moje zasady. I jedyną osobą, która go opuści, będziesz ty! Nie chcę cię rano widzieć! Masz się stąd wynieść, dość mam wstydu, jaki mi przynosisz! – Ciszę, jaka zapadła, przerywał tylko płacz matki Toma. Nikt nie potrafi tak bezkrytycznie kochać jak matka. Tylko dobry Bóg.

- Jessem dorosły i będę robił co mi się podoba, sssłyszysz?!

- Właśnie widzę! Powiedziałem: rano ma cię tu nie być! Przekonamy się, jaki jesteś dorosły! – Trzaśnięcie sypialnianymi drzwiami było definitywnym

zakończeniem rozmowy. Tom wykonał tylko obelżywy gest i przewrócił się tam, gdzie stał, zasypiając w kałuży własnych wymiocin.

Doskonale pamiętam, jak w kilka lat później siedziałem obok Thomasa na więziennej pryczy. Handel narkotykami, kradzieże i włamania w końcu zemściły się. Koledzy, którzy przygarnęli Toma po opuszczeniu przez niego rodzinnego domu, w obliczu groźby wysokich wyroków podali go na tacy, sami ulatniając się, jak gaz z nieszczelnej rury.

- Na co mi to było... – Ukrył głowę w ramionach i kiwał się jak sierota na twardym łóżku.

- Ostrzegałem cię, Tommy, wiele razy. Ale ty nie słuchałeś. Tak jak nie słuchasz teraz, biedaku. Nawet nie wiesz, jak żałuję, że nie możesz mnie usłyszeć – odpowiedziałem. Objąłem go ramieniem, chociaż i tak pewnie tego nie poczuł.

- Jestem nikiem.

- Mylisz się, jesteś po prostu słabym człowiekiem, który błądzi...

- Zgubiłem się, teraz dopiero to dostrzegam.

- Heh, lepiej późno, niż wcale, Tommy. Nie wszystko stracone, przyjacielu, póki serce bije wszystko może się wydarzyć.

- Jakim ja byłem koszmarnym idiotą! Jakim skończonym dupkiem.

- Nie da się ukryć. Ale miałeś szczęście, byli ludzie, którzy cię kochali.

- Kurwa, jak strasznie chce mi się jarać... – mruknął pod nosem a ja westchnąłem zrezygnowany. Pewnych nawyków nie da się wyplenić.

Wszystko byłoby milion razy prostsze, gdybym mógł objawić się Thomasowi. Pewnie podniósłbym go za kołnierz, wytrząsał po pysku, powiedział wszystko, co o nim myślę i kazał zrobić coś ze sobą. Ale nie mogłem. Mamy jasno określone prawo: ludzie muszą wierzyć, nie wiedzieć. Nie znoszę utrudniania sobie życia, ale cóż, taki jest plan Pana i nie mnie oceniać reguły, jakie wyznaczył. Ja muszę pokornie grać w zgodzie z zasadami.

W gruncie rzeczy pobyt w więzieniu uważam za błogosławieństwo. Thomas oczywiście miał zgoła odmienne zdanie na ten temat, ale jego wybryki związane ze złymi wyborami na szczęście się skończyły. Mógł co najwyżej

wdać się w jakąś bójkę na spacerniku, ale chyba dotarło do niego, że jeśli będzie grzeczny, to szybko wyjdzie.

- Wiesz chłopie, życie jest totalnie do dupy. A bez fajek jeszcze bardziej. – Gdy usłyszałem głos Toma odwróciłem się do niego ze zdziwieniem. Przez chwilę szukałem wzrokiem osoby, do której mówił; wdzięcznym słuchaczem okazał się być sporych rozmiarów szczur, z wygryzioną szczerbą na uchu i bielmem na lewym oku. Ot, taki weteran, który stojąc słupka pracowicie pochłaniał kolejny kęs chleba, podawanego przez Toma. Szczur, jak to szczur, nie przejmował się monologiem człowieka, interesownie rozglądając się za pożywieniem.

- Nie jest tak źle, Tommy. Trzeba tylko nauczyć się podejmować odpowiednie decyzje. – Ze zdziwieniem zauważyłem, że i mnie zaczynało brakować gryzącego dymu z palonych przez Toma papierosów. Zaczynałem rozumieć jego poirytowanie, co okrutnie mnie zdumiało.

W zasadzie sam sięgnąłem do miejsca, w którym powinna być kłapa kurtki, by wyciągnąć z tekturowej paczki porcję tytoniu, troskliwie owiniętą w bibułkę. Zakląłem pod nosem i usiadłem na pryczy.

Szczur był naszym częstym gościem. Tommy przykucał naprzeciw zwierzęcia i mówił do niego, jakby tamten był najserdeczniejszym przyjacielem skazańca. A szczur siedział na tłustym tyłku i kiwał się w przód i w tył, nieustannie poruszając wąsiskami.

- Myślę, że jak już stąd wyjdę, to odwiedzę staruszków.

- Dobry pomysł. Tylko nie próbuj znowu ich okradać. – Obaj zaciągnęliśmy się siwym dymem z podłych papierosów. Doprawdy, nie mam pojęcia skąd Tommy je wziął, ale chwała mu za to.

- Przyjdę i powiem ojcu, że miał rację, że byłem głupim gnojem i chciałbym jakoś wynagrodzić im te wszystkie nerwy. Wiesz, parszywy gryzoni, sporo tutaj jest czasu na myślenie. Jakbym miał siedzieć dłużej, to pewnie szajba by mi odbiła, a tak... Przemyślałem sobie to i owo. – Szczur nic nie robił sobie z Tommy'ego i spokojnie pucował futerko, przyjmując coraz bardziej ekwilibrystyczne pozycje.

- Cieszę się, Tommy, że wreszcie do tego dojrzałeś. Bardzo miło mi to słyszeć.

- Przepraszę matule, chyba tylko ona we mnie wierzyła. Zawsze mi powtarzała, że niezależnie od tego, co się stanie, i tak będzie mnie kochała. Poczciwa kobiecina. – Kolejny kłęb dymu wypełził z naszych warg.

- Jak Bóg. On też kocha bez względu na wszystko. – Tommy zmarszczył brwi i spojrzał mi prosto w oczy, byłem pewien, że przez moment mnie ujrzał.

- Jak Bóg. On też kocha bez względu na wszystko – powtórzył bezwiednie. - Ona w niego wierzyła... Więc coś pewnie w tym jest. – Wyrzucił niedopałek w róg celi i rozparł się wygodniej na pryczy.

- Boże, jeżeli faktycznie jesteś gdzieś tam... Przysięgam, że jeśli wyjdę wcześniej, to pierwsze co zrobię, pójdę do kościoła i się wypowiadam. Co Ty na taki deal? – Bóg oczywiście nie odpowiedział wprost, ale ja uznałem tę deklarację za dobrą monetę.

- Ile to ja czarnych za ołtarzem nie widziałem?

- Jedenaście lat, Tommy.

- W chuj czasu. – Szczur skończył toaletę, podbiegł do peta, który przestał dymić, porwał go w żółte zęby i zniknął ze swą zdobyczą w dziurze w ścianie.

- Do zobaczenia, stary.

Miałem już żal za grzechy i postanowienie poprawy. Wszystko szło ku lepszemu. Jeszcze tylko spowiedź, pokuta i zadośćuczynienie bliźnim. Najważniejsze, że znowu zaczął myśleć o Bogu. I nie przestał, bo następnego dnia z samego rana strażnik oznajmił, że wniosek Thomasa o przedterminowe zwolnienie został rozpatrzony przez sąd pozytywnie. Tommy nie posiadał się z radości. W rogu celi zostawił swojemu futrzanemu kompanowi pokazną stertę żarcia i podśpiewując pod nosem opuścił szare mury zakładu karnego, za którymi czekał nań trudny i nieprzewidywalny świat odpowiedzialności za własne czyny. W duchu modliłem się, by Tom pamiętał o złożonej Panu obietnicy. Ludzie często mają zwyczaj targowania się z Bogiem, a gdy już otrzymują to, czego chcieli, wówczas przypisują ten fakt szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, własnym umiejętnościom, bądź czemukolwiek innemu, byle tylko nie Stwórcy.

Nieomal wszystkie troski mnie opuściły, gdy ujrzałem, że Tom swoje kroki faktycznie kieruje w stronę najbliższej świątyni. Usiadł w ławce, zamknął oczy i wyglądał, jakby spał, jednak ja czułem, że rozmawia z Panem. Pierwszy

raz od bardzo dawna. W końcu padł na kolana, oparł czoło na złożonych dłoniach a spod zamkniętych powiek wypłynęły łzy. Uśmiechnąłem się, widząc tę wzruszającą scenę. Syn marnotrawny powrócił. Delikatne dzwonki, a zaraz po nich dostojny głos organ oznajmiły początek nabożeństwa. Tommy był zasłuchany we wszystko jak małe dziecko, tak samo ufny i otwarty. Przedterminowe zwolnienie było cudem, jego małym, prywatnym cudem, dostrzegalnym i zarezerwowanym tylko dla niego. I potrafił za ten cud podziękować. W konfesjonale nieopodal usiadł stary, poczciwy ksiądz. Przerzucił stulę przez barierkę i czekał, by w imieniu Jedyne go odpuszczać grzechy tym, którzy po to przyszedli. Thomas dosyć długo zwlekał, widziałem, że się obawia, zbierał się parę razy, zanim wreszcie zdecydował.

- Niech pan się nie boi, ksiądz nie gryzie. – Staruszka stojąca w niewielkiej kolejce do konfesjonału uśmiechnęła się do niego ciepło. Tom był zdenerwowany i było to po nim widać na pierwszy rzut oka.

- Niech pan idzie przede mną, zanim się pan rozmyśli i ucieknie – zązartowała babuleńka i delikatnie pchnęła go w stronę skrytego za drewnianą kratką kapłana.

Spowiedź Thomasa była długa. Płakał. Łzy, które spływały z oczu oczyszczały duszę, słowa skruchy same płynęły z ust, a gdy usłyszał trzykrotne stuknięcie w drewno wstał wyprostowany, dumny i lekki jak piórko.

- To jest ten moment. – Wydawało mi się, że usłyszałem w swojej głowie właśnie takie zdanie. Zmarszczyłem brwi i nie wiedziałem jak mam je zinterpretować. Ksiądz przy ołtarzu skończył rozdawać komunię, Tommy wracał do ławki, by ponownie paść na kolana i dziękować Bogu za wolność, za przebaczenie, za życie.

Opuściliśmy chłodny kościół i wyszliśmy na niewielki plac, zalany sierpniowym słońcem. Przekroczyliśmy bramę i wmieszaliśmy się w tłum, sunący przez gwarne centrum miasta. Tom szedł szybkim krokiem, z wysoko podniesionym czołem i uśmiechem na ustach mijał innych przechodniów, których pełno było na tej ruchliwej ulicy

- To jest TEN moment! – Ponownie usłyszałem głos.

Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Zebrałem całą swoją moc, pozwalającą mi na jakieś takie oddziaływanie na materialny świat i pchnąłem Toma prosto pod koła ciężarówki. Kierowca nie miał szans zareagować, Thomas zginął na miejscu. Był w stanie łaski uświęcającej, więc miałem pewność, że przekroczy bramy czyścica, a stamtąd niechybnie osiągnie zbawienie, oczywiście po stosownej pokucie. To było najlepsze, co mogłem dla niego zrobić. Przecież zbawienie duszy jest naszym priorytetem, nie utrzymywanie śmiertelnego ciała jak najdłużej żywym, prawda? – Anioł spojrział z szaleństwem w oczach na posępne postaci, które w milczeniu przysłuchiwały się jego opowieści.

- Owszem, Samitielu, zbawienie jest najważniejsze. Ale nie takimi metodami. Przykro mi, ale nic nie możemy dla ciebie zrobić. Zbuntowałeś się. Zwróć nam skrzydła. Zostaniesz na ziemi, jako jeden z ludzi. Ale nie umrzesz. Zostaniesz tam na zawsze.

- Błagam, nie odbierajcie mi skrzydeł! – Samitiel padł na kolana i kurczowo uczeplił się powłóczystej szaty Arbidiela. Archanioł spojrział na niego z góry, wyszarpnął materiał z rąk klęczącego upadłego i rzekł:

- Módl się do Pana. Być może w swojej łaskawości okaże ci litość gdzieś u kresu czasów. Żegnaj, Samitielu.

ECHO MAGICZNYCH KRAIN

Król bez tronu

Piwo lało się strumieniami. Gwar i rwetes panujący w przestronnej komnacie wypełnionej po brzegi świętującymi krasnoludami pełen był radosnych pieśni, heroicznym sag i sprośnych żartów. Świece spoglądały na wszystkich biesiadników z dużych, drewnianych kandelabrow, rozświetlając kamienne wnętrza i odganiając swym blaskiem myśli o mrozie i śniegu, które szalały w górach, tuż za wrotami Khald'a Draken, najbardziej wysuniętej na północ twierdzy Krasnoludzkiego Królestwa.

- Malkarze, złotousty przyjacielu, opowiedz nam jeszcze jedną historię! - Rudowłosy krasnolud o ciężkim spojrzeniu i jeszcze cięższych dłoniach wznosił kufel spienionego piwa w górę, rozchlapując parę bursztynowych kropli na drewnianą ławę, przy której siedział wraz ze swoimi kompanami. Wezwany do opowieści skłonił się i uśmiechnął pod wąsem, pogładził zaplecioną w fantazyjne warkocze krótkawą jeszcze brodę, wdrapał na stół, chrząknął i jął opowiadać głosem ciepłym, dźwięcznym i nieco już od mówienia ochrypłym.

- Rzecz, o której usłyszycie wydarzyła się tak daleko, że nawet smocze skrzydła nie pstrzą tam nieba, tak dawno, że nawet najstarsze pasma górskie słyszały o niej jeno od pradawnych wiatrów. Było to wówczas, gdy dzielny Folndrad Żelazna Pięść wyprawił się ze swymi czterema braćmi, by położyć kres panowaniu dzikiego potwora u podnóża góry, którą zamierzali obrać na swój nowy dom. Bestia odznaczała się wyjątkową siłą, uderzeniem olbrzymiej łapy kruszyła skały, jej ryk zsyłał lawiny a we wzroku płonął ogień wszystkich dziewięciu Piekieł. Jednak... - Przemowę młodego piewcy przerwał stary wiarus. Klepnął w ramię Malkara, prycnął lekceważąco i wychrypiął:

- Malkarze, ja wszystko rozumiem, ale nie mogli wybrać sobie innej góry, z dala od tego potwora, który zsyła lawiny i w ogóle? No bo wiesz, stare pasma górskie mają mnóstwo miejsc do zamieszkania, na mój rozum. No to po co męczyć się z jakimś plugastwem? - Ghondrar złośliwie wyszczerzył poźółkłe

zęby. Nie przepadał za trubadurem, który nigdy nie trzymał w ręku ni topora, ni młota, a i zwykłym mieczem prawdopodobnie by się pokaleczył. Nigdy nie brał udziału w żadnej bitwie. Co prawda od czasu, kiedy Malkar osiągnął już wiek, w którym mógłby w jakiejś dokonać heroicznych czynów, panował tak nużący spokój i cisza, że krasnoludy z Khald'a Draken same zaczęły wyszukiwać sobie wrogów do pokonania w lodowych przełęczach. Fakt ten jednak nie przekonywał wiekowego weterana, który uważał, że nie jest prawdziwym krasnoludem ten, kto nie zdjął nigdy w walce przeciwnikowi głowy z karku. A tylko tacy, w jego mniemaniu, są godni, by zabierać głos na ucztach. I powinni opowiadać o własnych wyczynach, bądź wyczynach swoich przodków. Malkar Złotousty spąsował, zjeżył się, rozdał nozdrza i, uspokoiwszy się nieco, odparł tymi słowy:

- Nie dla wszystkich, Ghondrarze Srogi, najważniejsze jest własne bezpieczeństwo. Niektórzy wolą rozślawiać swoje imię czynami dzielnymi, godnymi prawdziwego krasnoluda, a nie zwycięstwami w konkursach żłobania piwa. - Ghondrar zmarszczył brwi, zacisnął pięści i rzucił się na barda. Malkar spadł z ławy i chyba tylko to uratowało go przed gniewem starego wiarusa. Kilku współbiesiadników powstrzymało krewkiego krasnoluda od pomsty za usłyszaną zniewagę, co skrzętnie wykorzystał młodzian, którego złote usta stały się dlań nie raz i nie dwa zarówno przekleństwem i wybawieniem. Zniknął Srogiemu z oczu, przysiadł się do kamratów uczujących po przeciwnej stronie komnaty. Tymczasem Ghondrarowi nalano kufel przedniego krasnoludzkiego piwa, wzniesiono parę toastów, wspominających o mężnych czynach dokonanych przez jednookiego wojownika, co nieco udobruchało rozeźlonego wygę.

- Szkoda, że nie ma z nami Oklardhara. - Norin, druh Ghondrara w niejednej potyczce, kiwnął głową odrywając z pieczeni kawał soczystego, dobrze doprawionego ziołami mięsa.

- Cholerna śnieżycą. Gdyby nie to, dotarliby na czas. A tak musimy świętować Dhonganaria bez nich. Wypijmy za marznących w przełęczy braci, niech nasz toast rozgrzeje ich kości! - Wszyscy radośnie podchwycili okrzyk i opróżnili dzbany jednym haustem.

- Nie ma tego złego, Norinie. - Czerstwy krasnolud zmrużył zawadiacko jedyne oko – Pomyśl o karniaku, który ich czeka! - Doskonale wiedzieli, że powrót Oklardhara Gromowładnego, najstarszego syna króla Khald'a Draken, Kazadora Długobrodego, będzie niebywałą okazją do wyprawienia uczty jeśli nie jeszcze huczniejszej, to przynajmniej podobnej w rozmachu do tej urządzonej na cześć krasnoludzkiego bóstwa wszelakich trunków. Norin pogładził rudą, staranie uplecioną brodę sięgającą mu aż po kolana i rzekł:

- Tak mi się humor pewien przypomniał...

- Opowiadaj, chętnie się pośmiejem!

- Elf i krasnolud postanowili zdobyć niezdobytą twierdzę. No to krasnolud, pełen dumy chwycił topór i jął uderzać w bramy, ale krzesał tylko iskry, a odrzwia ustąpić nie chciały. Rozjuszony począł kopać wrota podkutymi butami, ale poza kilkoma rysami nie osiągnął żadnego efektu. Wściekły usiadł ciężko na kamieniu. Elf widząc poczynania towarzysza rozejrzał się, podrapał za spiczastym uchem, podszedł do niewielkiej, ukrytej furty, nacisnął na klamkę i oto zamknięta twierdza stanęła przed nimi otworem. Zadowolony z siebie długouchy podchodzi do krasnoluda i mówi, jak to elf, pełnym wyższości głosem, wskazując na swoją jasną czuprynę: "Trzeba mieć tu", po czym napina cherlawy biceps: "a nie tu". Na to rozsierdzony krasnolud łapie ponownie topór, uderza elfa w łeb, nieomal go rozpoławiając i rzecze klepiąc się po głowie: "Tu to trzeba mieć hełm". – Salwa śmiechu zabrzmiała tubalną kanonadą. Gdy rechot pijanych krasnoludów nieco przycichł, odezwał się milczący dotąd Burlok Płomień Stali.

- Tedy i ja wam coś opowiem. – Oczy biesiadników zwróciły się w stronę Burloka z wyczekiwaniem. Ten spojrział jeszcze w swój drewniany kufel, wychylił do końca piwo, otarł wierzchem wielkiej jak bochen chleba dłoni czarne wąsy i zaczął:

- Przez stary, poskręcany las szła elfka, odziana w jakąś cienką, półprzeźroczystą kiecuszkę. Wędrowała nieboga rozglądając się naokoło, ni to przelękniona, ni to zaciekawiona. Spacerowała tak dłuższą chwilę bawiąc się rąbkiem sukienki, gdy nagle drogę zagroził jej wielki mąż, o chmurnym spojrzeniu, poblížnionej twarzy, przyodziany jeno w postrzępione portki. Przyjrzał się uważnie elfce i tako rzecze: "Panienko, a co wy tak samotnie po lesie łazicie? Nie boicie się, że ktoś was przechędożyć może?" Na to elfka odpowiada: "Jakbyście byli uprzejmi, to nie musiałabym już dalej chodzić." – Śmiech znowu zagrział w ustach krasnoludów.

- Ech, te długouche pokraki. Chude toto, włosy ma tylko na głowie, blade jakieś i nijakie. Ani z młotem sobie nie poradzi, bo za słabe, ani toporem robić nie umi. Szkarady takie... Wszystkie to wiedźmy, dziwki i tchórze.

- Dobrze prawisz, Ghondrarze, mądrze i prawdziwie. – Norin wznosił w jego stronę kufel – Wypijmy za to, by długouche wiedźmy szlag trafił. – Stuknęli się szklanicami.

Oklardhar Gromowładny wysunął nos z zasypanego śniegiem namiotu. Wiatr ucichł kilka chwil temu, mróz nieco zelżał wraz z nastaniem świtu. Wszędzie wokół było białe aż w oczy kłuło. Promienie słońca odbijały się od kryształków lodu. Z ust krasnoluda opatulonego w ciepłe futra buchnęła para. Rozejrzał się wokoło. Obozowisko powoli budziło się do życia ściszonymi przekleństwami i całkiem głośnymi wyzwiskami pod adresem górskiej zimy. Wszyscy byli wściekli, że nie udało im się zdążyć przed wielką zamięcią

choć do następnej doliny, Doliny Śpiącego Niedźwiedzia. Tam, być może, śnieżna zawierucha nie przedarłaby się z taką siłą, możliwe, że nawet mogliby poruszać się naprzód, miast siedzieć w miejscu i czekać. Śnieg sypał cały tydzień unieruchamiając Oklardhara i jego drużynę na dobre. Toteż nastroje były podłe, zwłaszcza, że spóźnili się na obchody jednego z najbardziej lubianych świąt – Dhonganarii. W żadnej z krasnoludzkich Twierdz nie świętowano Dhonganarii z takim rozmachem, jak w domenie Kazadora Długobrodego.

Oklardhar wydał kilka poleceń, obozowisko zaczęło się zwijać. Choć tyle dobrego, że udało im się przetrzebić nieco gromadę Lodowych Trolli. To była epicka walka i Oklardhar sam do siebie uśmiechał się na myśl, jak będzie brzmiała opowieść o niej. Przeklęte bestie zaczęły się na przechodzącą Przełęczą Białego Wilka krasnoludy i spadły na brodatych wojowników z obu ścian wąwozu. Napotkały jednak na opór sroższy, niż się spodziewały. Krasnoludy dobyły toporów, żaden nie odpuścił pola. Mężnie stawały do boju, pomimo grozy rozsiewanej przez straszliwe, atakujące ich potwory. Lodowy Troll to nie lada przeciwnik, zwłaszcza, że każdy jeden jest przynajmniej czterokrotnie wyższy od przeciętnego krasnoluda, a skóra zdaje się być twarda jak lód. Ale krasnoludy pod wodzą dzielnego Gromowładnego doskonale wiedziały, że można ją równie jak lód pokruszyć. Oklardharowi zwłaszcza w pamięć zapadł krasnolud młody, o brodzie jeszcze tak krótkiej, że ten nie mógł zapeścić na niej choćby najmniejszego warkoczyka, ni przypiąć zdobnej spinki. Na imię mu Ghoingrann, po bitwie otrzymał od swego przywódcy przydomek Nieustraszony, bowiem gdy największy z Lodowych Trolli wyskoczył w górę, by runąć całym swym zimnym cielskiem na walczących i ciąć lodowym ostrzem na lewo i prawo, Ghoingrann bez lęku spojrzął bestii w ślepią, ruszył biegiem, odbił się od przykrytej śniegiem ziemi i jeszcze w locie spotkał się z trollem. Obaj zadali zamierzony cios, gdy spadali każdy, kto widział to starcie był

pewien, że młody krasnolud poległ. Lecz ten nie tylko nie był martwy, ale i okazał się zwycięzcą powietrznego starcia. Po upadku największego z wrogów reszta plugawych mieszkańców Przełęczy Białego Wilka zniknęła w lodzie i śniegu tak szybko, jak się pojawiła. Oklardhar ocknął się z niedawnych wspomnień; obóz już w zasadzie zwinięto. Czas ruszać do domu.

- Gdy w karczmie jakiejś dziewczeczce
zanuciłem "żegnaj cnoto",
odpiąłem haftkę w spódniczce
zobaczyłem złoto!

Hej! Złoto, złoto, złoto!
Hej! Złoto, złoto, złoto!
Hej! Złoto, złoto, złoto!
Złoto, złoto, złoto!

Stanąwszy w szranki z potworem
wrzasnąłem mu: "Ty wstrętno!
Przetnę cię tu mym toporem
lub oddawaj złoto!"

Hej! Złoto, złoto, złoto!
Hej! Złoto, złoto, złoto!
Hej! Złoto, złoto, złoto!
Złoto, złoto, złoto!

Kiedyś zbójców groźna grupa,

na czele z jakimś idiotą,
chciała mnie zamienić w trupa
i odebrać złoto!

Hej! Złoto, złoto, złoto!

Hej! Złoto, złoto, złoto!

Hej! Złoto, złoto, złoto!

Złoto, złoto, złoto! - Pieśń śpiewana przez setki gardeł grzmiała w kamiennej sali. Kolejne zwrotki wywrzaskiwane były coraz bardziej ochryplymi głosami. W końcu zamieniły się w rubaszny rechot. Kufle co i rusz podnoszono w górę, wykrzykując rozmaite toasty.

- Jeśli chodzi o złoto, młodzieńcze... - Hornborin Złotobrody, mający już mocno w czubie, objął ramieniem młodego krasnoluda i niemalże zmiażdżył go w uścisku - ... to powiem ci coś, o czym zawsze, ale to zawsze powinienes pamiętać. - Argat, do którego skierowano te słowa, najwyższym wysiłkiem woli skupił wzrok na rozmówcy. Dwóch Hornborinów siedziało obok siebie i każdy z nich właśnie uderzył pięścią w stół, by podkreślić wagę wypowiedzianych przezeń zdań.

- O czym to powinienem pamiętać, Hornborinie?

- Pamiętaj, chłopcze, nie wszystko złoto, co się świeci! - Wzniósł kufel, postawił z impetem na ławie, rozchlapując lwią część piwa, po czym podniósł go do ust, oblewając sobie brodę, zanim krawędź naczynia dotknęła warg.

- Każdy głupiec to przecie wie!

- Ale słuchaj! Nie wszystko złoto, co się świeci, ale tak na wszelki wypadek łap wszystko, co do niego podobne! - Przysłuchujący się tej wymianie zdań wybuchnęli śmiechem. Wszak wszyscy oni, za wyjątkiem młodego Argata, słyszeli po wielokroć o złotniczych zamięowaniach i wyprawach Hornborna. Jeżeli gdzieś posłyszano jakąkolwiek ploteczkę o ukrytym skarbie, to można było mieć pewność, że stary sknerus się tam pojawi w najbliższym czasie.

Do piwa Wargrima Pięściomłota wpadł воск, zastygając z sykiem przybrał jakiś pokraczny kształt. Komnata zatrzęsa się, z sufitu posypał się pył. Krasnoludy przycichły przyglądając się rozbujanym kandelabrom. Ogień zatańczył na knotach świec i po chwili uspokoił się, znów płonąc równym, jasnym płomieniem.

- Pieprzone lawiny. - Warknął Wargrim, próbując wielkim paluchem wygrzebać sterynę z dzbana. Po trzeciej próbie zrezygnował i łyknął solidnie przeżuwając przez chwilę roztopioną świecę. Następny wstrząs był silniejszy, trwał dłużej i zaniepokoił wszystkich. Śmiechy ucichły, zastąpione szmerem domysłów. Wtem, ku zaskoczeniu ogółu, ściana komnaty najpierw pękła, potem, z głośnym hukiem zamieniła się w kupę gruzu. Z kurzu wyłoniły się niewielkie, zgnięzione potworki o złośliwych, czerwonych oczkach, haczykowatych nosach i spiczastych, postrzępionych uszach. Chichotały upiornie przedzierając się przez rumowisko i rzuciły się z zakrzywionymi mieczami na zdębiałe krasnoludy. Mieszkańcy Khald'a Draken byli nie tylko zamroczeni litrami wypitego alkoholu, ale w ogóle zaskoczeni nieoczekiwanym pojawieniem się nieproszonych gości.

- Gobliny, psia jucha, gobliny! - Wrzasnął Ghondrar Srogi dobywając obosiecznego topora – Do broni, bracia, nie dajmy im ujść żywcem! – zawołał, rzucając się na najbliższego przeciwnika i przecinając go wpół. Ghondrar nie znał litości dla zielonoskórych, jego drogę znaczył ślad krwi i drgających jeszcze goblinських ciał. Pomimo wypitego piwa krasnoludy szybko zorganizowały się do walki, co prawda niektórzy, zwłaszcza ci młodszy, nadal nie dowierzali własnym oczom, ale dzielnie stawiali opór zielonemu najeźdźcy. Ghondrar wraz z Norinem i Burlokiem siali śmierć wśród przeciwników na środku przestronnej sali. Norin za każdym zamachem runicznego młota kładł kilka trupów, Burlok siekał toporem na lewo i prawo, nie zważając na przeraźliwe piski i ryki rannych i konających wrogów. Jednooki wiarus

kolejnym potężnym cięciem pozbawił zielonoskórego głowy, lecz sam również otrzymał ranę paskudną i zwiastującą rychły koniec. Jego klatkę piersiową przecięła goblinśka szabla, kolejna wbiła się w brzuch. Krasnolud uklęknął, zaklął szpetnie, splunął krwią, lecz wstał chwiejnie, spojrzał gniewnie na przeciwnika, który śmiał go ugodzić i trzepnął go wielką, okutą pancerną rękawicą pięścią z taką furią, że tamten wpadł w grupę swych kamratów przewracając ich. Ghondrar czuł żar trucizny wypalającej skórę i przesączającej się do jego trzewi, lecz był bardziej nieubłagany niż góry, w których mieszkał. Z siłą schodzącej lawiny wpadł w zdezorientowaną grupę goblinów i uczynił ich ostatnie chwile bardzo bolesnymi i krwawymi. Przedał się ponownie do swych druhów, lecz w tej części sali w zwarciu pozostał już tylko milczący Burlok; Norin leżał w czerwonej kałuży wpatrując się zaszklonymi śmiercią oczami w sufit. Weteran wrzasnął wściekle widząc najwierniejszego kompana martwym i zapomniał w berserkerskim szale o zadanych mu ranach i, choć nadal brocząc, pomścił po stokroć krasnoluda bliższego mu niżli rodzony brat. Ruchy Ghondrara spowolniały, siły opadły z potężnych ramion, na czoło wystąpił pot. Rozgorączkowany wzrok nie mógł skoncentrować się na przeciwniku, ciosy osłabły i straciły na celności. Weteran machnął jeszcze parę razy toporem, zatoczył się i opadł na kolana. Goblino, niepewne czy przeciwnik jest dostatecznie zwiędły, zawahały się przez chwilę, lecz gdy woj padł na twarz, rzuciły się na niego ze wściekłymi okrzykami. Taki oto był koniec Ghondrara Srogiego, jednego z najznamienitszych krasnoludzkich wojowników Khald'a Draken.

Malkar Złousty, widząc upadek tytana zbladł, nie sądził, że cokolwiek mogłoby pokonać starego krasnoluda. Nie miał jednak zbyt wiele czasu na rozmyślenia, bowiem goblinśkie szable tańczyły wokół niego przecinając powietrze. Malkar zbijał ciosy, sam zadał ich wiele, lecz nie był tak wprawnym wojownikiem jak Burlok, Norin czy Ghondrar. Goblin o wyjątkowo wrednym

wyrazie twarzy podcinając mu gardło sprawił, że młody bard nigdy nikomu nie zaśpiewa pieśni, nie opowie sagi ni rubasznej anegdotki. Również Argat, nie mając bojowego doświadczenia, nie miał już nigdy sprawdzać prawdziwości złota. Jego twarz zastygła w śmiertelnym grymasie, gdy, trafiony mieczem w czubek głowy, padł na ławę, przy której jeszcze nie tak dawno jadł, pił i bawił się, świętując Dhonganaria. Wargrim, Pierwszy Młot Królestwa, po raz kolejny potwierdzał słuszność noszonego przezeń przydomku. Swym potężnym młotem gruchotał czaszki przeciwników jak orzechy. Z tytaniczną siłą rozrzucał mocarnymi uderzeniami gobliny na boki, jakby kosił trawę. Zielone głowy spadały z karków szybciej, niż listopadowe liście przy silnym wietrze. Wargrim z okrzykiem na ustach posyłał przy każdym zadanym ciosie kilka goblinów w niebyt. Jednak przeciwników było zbyt wielu, z tunelu, którym przybyli, wlewało się coraz więcej i więcej haczykowatonych, krwiożerczych potworków. Ostatkiem sił, poraniony, lecz nadal nie ustępujący pola Pierwszy Młot Królestwa, walczył jak osaczona bestia, wściekle, zajadle i bez pardonu. Koniec jednak był bliższy, niż krasnolud by sobie tego życzył. Chwila nieuwagi kosztowała go utratę lewej dłoni. Z rany buchnęła krew, ból przyćmił zmysły, a po chwili świat zgasł dla dzielnego i męznego Wargrima.

Oklardhar szedł na czele swych rodaków. Im bliżej byli Khald'a Draken, tym więcej radości gościło w ich sercach. Rozcierali zmarznięte dłonie i prześcigali się w zapewnieniach, który z nich wypije większy dzban gorzałki po powrocie.

- Hej, Logi! - Belorn Piwosz krzyknął do idącego spory kawałek przed nim długobrodego krasnoluda. Tamten zatrzymał się i spojrzał za siebie, czekając aż brzuchaty kompan się z nim zrówna.

- Cóż tam, Belornie, sprawiło, że drzesz się wniebogłosy, jakbyś chciał nam lawinę na łby spuścić?

- Bo widzisz, stary przyjacielu, w gardle zaschło, a manierka pustkami świeci, więc zapytać chciałem, czy może u ciebie kropelczyna czegośkolwiek się ostała.

- To twój szczęśliwy dzień. - Logi Mądry uśmiechnął się pod siwym wąsem, sięgnął do pasa, dobył bukłaka i podał go towarzyszowi. Belorn odkorkował i pociągnął solidny łyk, po czym skrzywił się i nieomal wypluł to, co miał w ustach. W końcu jednak z wyrazem najwyższego obrzydzenia przełknął, otarł wargi i warknął:

- Woda... Jak zwierzę... - Odchrząknął i splunął na zamarznąłą ziemię obrzydliwą plwociną. Stał obok Logiego i podążył wzrokiem za jego spojrzeniem. Khald'a Draken majaczyło na horyzoncie, skąpane w czerwonym świetle zachodzącego słońca.

Khald'a Draken wyłoniła się spomiędzy gór, cicha i wieczna jak one. Olbrzymi, rzeźbiony dłutami krasnoludów – założycieli, kamienny smok rozpościerał wielkie skrzydła nad gigantycznymi wrotami tak starymi, że drewno, z którego je wykonano pociemniało tak znacznie, iż przypominało metal. Odrzwia, misternie rzeźbione rozmaitymi wzorami, pozostawały zamknięte. Ogień, który zawsze płonął w kamiennych zniczach, przygasał. Oklardhara Gromowładnego przeszedł dreszcz. Włoski na karku zjeżyły się, zwiastując jakieś nieszczęście. Na murach nie dostrzegł nikogo, żadna latarnia nie rozbłysła na blankach. Twierdza zdawała się być martwa. Krasnoludy stanęły w milczeniu i wpatrywały się w kamienne ściany, jakby te miały się poruszyć pod ich natarczywym spojrzeniem. Czekali. Czekali zbyt długo. Furtian nie przyszedł. Wiatr zawył przeciągle, wznosząc w niebo wirujące płatki śniegu. Oklardhar, pełen obaw, podszedł do bram i załomotał drzewcem topora

po trzykroć. Uderzenia rozniosły się echem, głucho dudniąc w pustych salach i korytarzach. Huk przebrzmiał i twierdzą na nowo spowiała grobowa cisza. Wszyscy już wiedzieli, że wydarzyła się jakaś okropna tragedia. Nikt jednak nie wypowiedział słowa, zaniepokojone spojrzenia mówiły więcej niż tysiąc słów. Co się stało? Dlaczego nikt nie otwiera? Gdzie się wszyscy podziali, przecież krasnoludzkie twierdze nigdy nie pozostają puste? Setki pytań krążyły po głowach brodatych wojów a odpowiedź na nie mogli znaleźć jedynie wewnątrz swego odmienionego domu. Ukryta, boczna furta wpuściła ich do środka. Na pierwszy rzut oka nic nie zwiastowało dramatu, jaki rozegrał się w kamiennych ścianach Khald'a Draken. Dopiero następne kroki w głąb tuneli odsłoniły straszną prawdę o upadku Północnej Twierdzy. Sceny rozegranej tu bitwy stały się jak żywe przed oczami przybyłych krasnoludów. Mieszkańcy zostali zaskoczeni podczas świętowania Dhonganarii, potłuczone kufle i połamane łąwy zaściełały podłogę. Zamarznięta krew czerniła się na ziemi i ścianach. Setki martwych krasnoludów i tysiące usieczonych przez obrońców plugawych goblinów pokrył szron i lód, czyniąc ich oblicza niezmiennymi. Goblin z wbitym w czaszkę toporem do rzucania wywalił jęzor i siedział w pokracznej pozie pod ścianą. Nieopodal, pod stertą ciał jego pobratymców spoczywał krasnoludzki wojownik. Rozpostarte, zeszywniałe palce wyciągniętej dłoni darły kamienną, zbroczoną posadzkę, jakby woj miał zaraz wyczołgać się spod przygniatających go wrogów. Patrzyło na to wszystko kilku młodzików o krótkich, niezaplecionych brodach, na ich wykrzywionych agonią obliczach malował się ból, wściekłość i niedowierzanie. Oklardhar i jego drużyna szli w ciszy z twarzami ściągniętymi grozą. Patrzyli na swych braci, kuzynów, przyjaciół, synów. Wszyscy byli martwi. Zginęli w boju, broniąc swego domu. Zginęli mężnie, z honorem. To była dobra śmierć, choć straszna. Gobliny miały przytłaczającą przewagę, Logi oszacował szybko, że na każdego martwego krasnoluda przypadało kilka, jak nie kilkanaście zielonoskórych trupów. Podkop, z którego wypełzła zielona chmara został zawalony. Oklardhar stanął

nagle, jego twarz stała się blada jak płótno, szare oczy zaszklily się napływającymi łzami. Jego towarzysze przyklękneli. Oto przed nimi, u szczytu jednej z biesiadnych ław, twarzą zwróconą w górę, leżał ich wieloletni przywódca, król Kazador Długobrody. W szarych jak u syna oczach płonął gniew, lecz nie było nikogo, kogo mógłby dosięgnąć. Zasnęta krew zaznaczyła swą ścieżkę, spływając z uchylonych warg. Pospinana złotymi klamrami, parokrotnie zawiązana w zdobne węzły biała broda sięgająca ziemi pobrudzona była posoką. Naokoło Kazadora piętrzyły się stosy martwych goblinów, goblinów, które ośmieliły się napaść na jego twierdzę. Widać było, że król nie oddał łatwo swego życia; powaliły go dopiero liczne strzały, powbijane w klatkę piersiową i brzuch sędziwego i groźnego krasnoluda. W upstrzonej pięknymi pierścieniami dłoni nadal trzymał wielki topór, na którego idealnej powierzchni połyskiwały wykute runy. Oklardhar patrzył długą chwilę na ciało umiłowanego ojca, po czym przyklękął wraz ze wszystkimi oddając hołd Ostatniemu Królowi Khald'a Draken. Złożywszy ciało Kazadora Ostatniego na naprędcie skleconych noszach, ruszyli równym tempem w stronę najważniejszego miejsca w całej twierdzy – do Grobowca Królów. Ku uldze Gromowładnego wielkie, pieczołowicie rzeźbione wrota pozostały nietknięte. Inkrustowane złotem płaskorzeźby przedstawiały najmężniejsze czyny każdego ze spoczywających w Grobowcu królów. Imiona wszystkich wypisano na odrzwiach równym, runicznym pismem. Syn ostatniego władcy odpieczętował bramę. Otwarła się z odgłosem kamienia trącego o kamień. Pomieszczenie było duże i ciemne. Blask trzymanej przez Belorna pochodni ukazał ich oczom sarkofagi śpiących wiecznym snem krasnoludzkich przywódców. I tak minęli Acracka Założyciela, przytulającego do niedźwiedziej piersi wielki młot, Groklara Jednookiego, znanego ze swojego zamiłowania do polowań na potwory. Każdy znał przynajmniej kilka sag, w których prym wiódł drugi król Khald'a Draken. Do tej pory toczą się spory, w której to potyczce Groklar stracił swe oko, ponieważ nieomal każda opowieść o nim kończyła się utratą źrenicy.

Jego syn, Ghazdrir Wyrwidąb, mocarnie ścisnął stylisko topora. Lanndrak Śmiały uśmiechał się do swych wspomnień o bohaterskich czynach. To za jego panowania toczono najkrwawsze wojny z plemionami zielonoskórych. Lecz dopiero jego następca, Hargin Nieulekły przepędził zieloną horde precz. Każdy z krasnoludów idących w pogrzebowym orszaku doskonale znał historię i dokonania przodków Kazadora. Mogli być dumni z przeszło pięciu setek lat istnienia twierdzy. W milczeniu złożyli ciało swego króla do grobowca i stanęli wokół, po raz ostatni wpatrując się w twarz sędziwego krasnoluda. Logi zapalił grubą świecę, która od razu zapłakała grubą kroplą wosku. Oklardhar spojrzął na ojca, potem przeniósł wzrok na towarzyszy. Ghoingrann i Belorn zasunęli wieko z upiornym zgrzytem. Gładki kamień będzie musiał poczekać na płaskorzeźbę przedstawiającą sylwetkę zmarłego króla. Następca Tronu Khald'a Draken wyciągnął topór, oparł się o niego i klękawszy rzekł:

- Ja, Oklardhar, syn Kazadora Długobrodego, szósty z prawa i krwi król Khald'a Draken, biorąc was, dzielni towarzysze, oraz was, moi śpiący przodkowie, za świadków, uroczyście przysięgam na mój topór, iż nie powrócę do rodzinnej twierdzy i nie obejmę tronu dopóty, dopóki nie odnajdę i nie odeślę do Piekła wszystkich przeklętych zielonoskórych, którzy swym najazdem zhańbili dobre imię mojego ojca i podstępnie zamordowali braci. - Jego słowa rozniosły się echem po kamiennej sali. Świeca stojąca na wysokim stojaku obok grobu Kazadora Długobrodego zgasła zdmuchnięta nagłym powiewem mroźnego wiatru. Wstał, a w jego oczach płonęły gniew i determinacja.

- Twoja przysięga sięgnęła gwiazd, Oklardharze Gromowładny. Zmarli będą obserwować twoje poczynania. - Logi Mądry skłonił się nowemu królowi.

- Pozwól mi, mój panie, towarzyszyć ci w twoim dziele tak długo, jak długo będę mógł unieść broń, a i potem również. - Przyklękął. W jego ślady poszła reszta wojowników. Oklardhar spojrzął na nich twardym wzrokiem i ozwał się:

- To nie będzie łatwa ścieżka. Z radością ujrzę was u mojego boku.

Oklardhar Bez Tronu, wraz ze swoją drużyną, szedł w stronę wschodzącego krwią słońca, oddalając się od Martwej Twierdzy. Niknęli między ośnieżonymi szczytami, by już nigdy nie powrócić.

Bo tu jest złoto

Sala, w której odbywały się posiedzenia Zarządu Krasnoludzkiego Banku Shegengold, wypełniała się dostojnymi krasnoludami. Zasiadali na swoich miejscach, wymieniając ciche pozdrowienia i przyglądając długie, pozaplatane w fantazyjne warkocze brody. Niektórzy pograżyli się w mrukliwych dywagacjach, kolejni odpalili fajki o wąskich szyjkach i pięknie rzeźbionych główkach, jeszcze inni pograżyli się w lekturze rzędów misternie zapisanych cyferek. Tylko Dwinar, krótkobrody krasnolud, najmłodszy z całego towarzystwa, rozglądał się nerwowo i postukiwał niecierpliwie w idealnie wypolerowany blat długiego stołu. Wyciągnął w końcu ze skórzanej teczki raport, który przedstawił wczoraj Prezesowi. To właśnie była przyczyna dzisiejszego zebrania; obroty znacznie spadły, coraz mniej osób lokowało w Shengegold swoje oszczędności, zamiast niego wybierając elfie, ludzkie czy – o zgrozo! - goblinińskie placówki. Wielkie, dwuskrzydłe drzwi otwarły się po raz kolejny i stanął w nich sędziwy krasnolud. Podszedł podpierając się sękatą laską do swojego krzesła na szczycie stołu. Powoli spoczął na siedzisku obitym czerwonym pluszem i rozejrzał się wokół; ucieszył się widząc złote płaskorzeźby zdobiące ściany i skrzące się w ten najprzyjemniejszy sposób w promieniach południowego słońca. Tegoroczne lato było wyjątkowo upalne, lecz nikt z obecnych nie odważył się sprzeniewierzyć starym, krasnoludzkim tradycjom, tedy na głowach wszystkich tkwiły hełmy zwieńczone pierzastymi skrzydełkami. Przewodniczący skupił wzrok na Zarządzie, chrząknął, upił łyk cierpkiego wina z ciężkiego pucharu i przemówił cichym, przypominającym darcie prześcieradła głosem:

– Dzień dobry, panowie, witam was serdecznie. Zapewne jesteście zaskoczeni pośpiechem, z jakim zostało zorganizowane dzisiejsze zebranie.-

Odchrząknął i zwilżył gardło. - Cóż, wczoraj otrzymałem wielce niepokojący raport od naszego młodszego księgowego, którego postanowiłem tutaj zaprosić, by i wam, panowie, mógł przybliżyć istotę problemu... - Zawiesił głos i spojrzał wyblakłymi oczami w twarz każdego zgromadzonego krasnoluda. - Dwinarze, chłopcze, powiedz teraz to, co przekazałeś mnie. - Dwinar wstał szybko ze swojego miejsca, prawie przewracając krzesło, cały raport rozsypał mu się po stole. Zaczął gorączkowo zbierać porozrzucane kartki; gdy znowu znalazły się w schludnej kupce, poprawił na kartoflowatym nosie okulary w drucianych oprawkach i przemówił drżącym z przejęcia głosem:

- Witam szanownych panów, dziękuję, panie Prezesie. Nazywam się Dwinar Graghor, mam zaszczyt być młodszym księgowym w Shegengold. Od kilku tygodni zbierałem materiały, które prostą ścieżką cyfr i procentów doprowadziły mnie do bardzo zasmucających wniosków: od zeszłego roku liczba naszych klientów drastycznie spadła. - Po sali rozszedł się szmer niedowierzania. - Z moich badań wynika, że coraz większa ilość klientów wycofuje swoje oszczędności z naszych kont.

- To co oni, na Odudina, robią z tym złotem? - warknął ze złością rudobrody krasnolud, wypuszczając z ust kłęb aromatycznego dymu. Dwinar wciągnął głębiej powietrze. "Wiśniowy od Thommssona" pomyślał. "Ciekawe, czy mnie kiedykolwiek stać będzie na taki dobry tytoń..."

- Tego również się dowiedziałem, panie... - Krótkobrody zawiesił głos.

- Barga Khroder, młodzieńcze.

- Panie Khroder. Zrobiłem krótki wywiad, z którego jasno wynika, że przenoszą je do innych banków.

- Przecież jesteśmy monopolistą w Krasnoludzkim Królestwie! - Jegomość o twarzy pobrużdżonej milionem głębokich zmarszczek huknął w stół potężną pięścią.

- Tak... Zgadza się, ale...

- Tutaj nie ma żadnego ale! Nasz bank jest najlepszy ze wszystkich!

– Nie wątpię w to, jestem o tym święcie przekonany, jednak...
– Nie ma żadnego jednak! Liczby nie kłamią! - Krzyknął inny, ten, który zasiadał po prawicy Bargi Khrodera. Dwinnar westchnął; wiedział, że to nie będzie łatwe spotkanie, jednak nie sądził, że problemy pojawią się jeszcze przed wyłuszczeniem prawdziwego kłopotu.

– Panowie, będę wielce zobowiązany, jeżeli pozwolicie mi dokończyć. Tak, jesteśmy monopolistą w Krasnoludzkim Królestwie, zgadza się, mamy najlepszy procent na lokatach. Jednak nie jesteśmy w Królestwie Krasnoludów, a w Republice. Zdajecie się zapominać, że Republiką rządzi wolny rynek. A na tym rynku znajdują się również inne banki, nie tylko Shegengold. Pozwoliłem sobie wykonać krótką ankietę, o wypełnienie której poprosiłem klientów innych banków. Oto jej wyniki. - Wziął do ręki plik kartek i rozdał je każdemu krasnoludowi. Ci prześledzili tekst wzrokiem; na ich twarzach odmalowała się bardzo wybuchowa mieszanka uczuć, od zaskoczenia przez niedowierzanie na wściekłości kończąc.

– Co to za bełkot?! - krzyknął Barga.

– To są statystyki, panie Khroder, procentowe zestawienie zadowolenia klientów w kilku różnych aspektach pracy banku.

– Że niby nasi doradcy są nieuprzejmi?! - zapytał inny.

– Okazuje się, że powiedzenie klientowi, że jak mu się nie podoba oprocentowanie to, mówiąc grzecznie, ma się szybko ewakuować jednak nie jest dobrą drogą negocjacji... Mało tego, podobno należy się... - zawiesił głos. - Uśmiechać. - Po sali przebiegł szmer niedowierzania. - Spokojnie, panowie, myślę, że jesteśmy w stanie zaradzić problemowi. - Dwinnar wyprostował się na swoje całe sto czterdzieści centymetrów i zdawał się jaśnieć. Pomysły, które zamierzał przedstawić Zarządowi, a które wstępnie już zostały zaakceptowane przez Prezesa, powstały w jego własnej głowie i wiązał z nimi podwyżkę oraz rychły awans.

– Co masz na myśli, chłopcze? - Milczący dotąd krasnolud o śnieżnobiałej brodzie, upstrzonej szmaragdowymi spinkami zwrócił się do Dwinara lodowatym, choć spokojnym tonem.

– Cieszę się, że pan zapytał, panie...

– Kvaber Valzag.

– Panie Valzag. Mam już przygotowany, za pozwoleniem pana Prezesa, pewien plan, jak uzdrowić tę nie za ciekawą sytuację. Zanim, panowie, wyrazicie swoje zdanie chciałbym, abyście wysłuchali mnie do końca. Możecie to dla mnie zrobić? - Odpowiedziały mu pomruki, które siłą rzeczy musiał wziąć za potwierdzenie. Upił z wysokiej szklanki łyk wody mineralnej, prosto ze źródeł bijących spod gór Krasnoludzkiego Królestwa, Gerrenhills; doskonale wiedział, co ma powiedzieć, lecz dla zwiększenia napięcia przejrzał jeszcze raz notatki.

– Panowie, po zrealizowaniu tych kilku prostych punktów na pewno poszybujemy w górę w notowaniach nie tylko giełdowych, ale i finansowych, tutaj, w skarbcu Shegegold. Zacznijmy od początku. Obsługa klienta. To niewątpliwie, według przeprowadzonych przeze mnie badań rynku, nasz najsłabszy punkt. Konsultanci muszą być mili i usłudni wobec klientów, nie mogą na nich krzyżeć ani sugerować użycia broni w razie jakichś problemów. - Dziesięć par stalowych oczu wbiło się w niego, jakby właśnie zaproponował zamordowanie króla. Przełknął głośno ślinę, nieco zbity z pantałyku, lecz kontynuował:

– Należy witać petentów z uśmiechem radosnym "Dzień dobry, w czym mogę panu pomóc?". U elfów taka formuła wyśmienicie się sprawdza. Klienci ich banku bardzo sobie chwalą profesjonalną i przede wszystkim miłą obs...

– To jakieś żarty! - Twarz Bargi przypominała teraz kolorem jego misternie zaplecione wąsiska. - Nasi chłopcy nie będą brali przykładu z tych spedalonych, długouchych pizd!

– Obawiam się, panie Khroder, że jeżeli chcemy się utrzymać w branży, takie działania są nieuniknione. I nie ma znaczenia, od kogo będziemy czerpali wzorce, jeśli mają nam przynieść korzyść.

– To niedorzeczne! - pieklił się Barga, dysząc ciężko ze wściekłości.

– Barga, uspokój się i posłuchaj, co ten krótkobrody ma do powiedzenia. Może i brak mu doświadczenia, ale za to ma świeże spojrzenie na sprawy, w których my jesteśmy skamielinami... - Kvaber wcisnął do komina fajki przedni, waniliowy tytoń i odpalił go długą zapalką. Cmoknął parę razy, podsycając żar, wypuścił nosem aromatyczną chmurę i wskazał ręką na Dwinara. - Kontynuuj, chłopcze.

– Tak, dziękuję. Miła obsługa zapewnia elfickiemu bankowi wielu odwiedzających, dlatego uważam, że przeniesienie tego zwyczaju na nasz grunt może zadziałać więcej niż pozytywnie. Poza tym, zawsze dobrze jest życzyć klientowi "miłego dnia", ponie...

– Miłego dnia?! - burknął sąsiad Bargi. - Czy ty wiesz, jak czasami ci wszyscy ludzie potrafią popsuć nerwy i uważasz, że należy im życzyć miłego dnia?

– Szanowny panie, uważam, że niezależnie od tego, jak wobec nas zachowuje się klient my musimy, powtarzam, musimy być grzeczni i stonowani; to sprawia, że nawet najwięksi frustraci wracają, bo każdy lubi być traktowany dobrze, nawet jeżeli na to, w naszym mniemaniu, nie zasługuje. Musimy pamiętać, że żyjemy z klientów i ich pieniędzy, więc zrażanie ich do siebie możemy przypłacić upadłością. - Zwilżył wargi, delektując się ciszą. Dwadzieścioro oczu wpatrywało się w niego uważnie, choć z lekkim niedowierzaniem, jakby krasnoludy zastanawiały się nad poczytalnością kamrata.

– Druga rzecz, o której chciałbym porozmawiać, to działania promocyjne. Nie możemy bazować tylko na opinii, w dzisiejszym świecie to może nie wystarczyć. Oczywiście renoma, wyrobiona przez wieki jest

fantastycznym gruntem do budowania pozycji, jednak to jest za mało. Trzeba sprawić, by ludzie o nas mówili, żeby chcieli do nas przychodzić. Nawet jeżeli nic nie wezmą ani nie zostawią, przynajmniej będą mieli przyjemne wspomnienie i dzięki pozytywnemu skojarzeniu wrócą w przyszłości.

– I zapewne masz jakiś genialny pomysł, jak zamienić słowa w czyn?

– Oczywiście – odparł Dwinar, przecierając ściereczką szkła w okularach. Gdy oprawki z powrotem spoczęły na jego nosie odkaszlnął i ciągnął wątek: - Tutaj zamierzam zaproponować panom rzecz, którą podpatrzyłem w goblinських placówkach. Goblino często są swoich klientów cukierkami, czasami do umów dołączają jakiś inny upominek. Ten miły gest z pewnością przyciąga do nich sporą klientelę. - Tym razem nikt nie protestował. Wszyscy słuchali, wywiesiwszy w swych umysłach białe, kapitulacyjne flagi. To, o czym opowiadał młodzieniec, było tak absurdalne i niedorzeczne, że nie mieli już sił na polemikę. A najgorsze miało dopiero nastąpić:

– Panowie, niestety nasza marka, wedle badań rynku nie jest kojarzona najlepiej. Uważani jesteśmy za, cytuję: gburowatych, chciwych chamów niewiele wystających ponad biurka. - Gdyby ktoś postawił teraz w pomieszczeniu beczkę prochu ta niewątpliwie eksplodowałaby, zaprószona iskrami wściekłości, ciskanymi przez spojrzenia krasnoludzkiej braci.

– I co zamierzasz z tym zrobić? - wysyczał Barga, jeszcze czerwiejszy na policzkach niż wcześniej.

– Hmm. Oczywiście musimy naprawić nasz wizerunek. Najlepszym działaniem, z tego, co udało mi się wywnioskować ze zdania ankietowanych, byłoby podjęcie jakiegoś działania filantropijnego.

– Jekiego?!

– Fi-lan-tro-pij-ne-go – przesylibizował. - W krótkich słowach chodzi o to, by zrobić coś bezinteresownie dla jakiegoś dalekiego i biednego kraju, pomóc ubogim i głodnym albo ufundować hospicjum dla chorych, najlepiej dzieci, dzieci podobno najbardziej rozczulają serca – wyjaśnił jednym tchem,

by przypadkiem nikt nie próbował mu przerwać. Ale riposty nie było; krasnoludy siedziały w absolutnym milczeniu, niepewne, czy przypadkiem faktycznie mają do czynienia z szaleńcem. W oczach czaiło się totalne niezrozumienie, może nie dla samego określenia „filantropia”, ale dla jej idei. No bo jak można dać coś komuś, i to za darmo! Owszem, gdyby nam pomógł, uratował życie, albo coś, wówczas odwdzięczenie się byłoby sprawą naturalną. Ale robić coś za nic dla nikogo znajomego?! Toż to absurd w najczystszej postaci! Jeżeli weźmiemy dowolny procent z zera, wówczas nadal pozostanie zero, gdzie zyski, gdzie przychody?! W końcu szok, podobny do pourazowego, minął i zaczęło się... dziać naprawdę źle. Ktoś wstał, wrzeszcząc wniebogłosy, ktoś inny wyciągnął topór, machając nim w stronę Dwinara, jeszcze inny przewrócił krzesło i próbował gołymi rękami udusić młodszego księgowego.

Dwinar siedział w swoim gabinecie, przykładając woreczek z lodem do nabrzmiałego siniaka, powoli wpełzającego na zapuchnięte oko. Patrzył bezradnie na strzępy notatek, zrezygnowany i przybity. Drzwi uchyliły się i przez powstałą szczelinę wsunął kulfonowaty nos asystent Prezesa:

– Panie Graghor, Prezes chce się z panem widzieć. - Dwinar wstał ciężko, odłożył zimny okład na nieprzydatne już kartki i powłókł się do Podłużnego Gabinetu. Zatrzymał się przed dwuskrzydłymi drzwiami, misternie rzeźbionymi w monety, topory i wagi. Pchnął je i wszedł do środka. Prezes siedział za swoim biurkiem i palił cygaro, patrząc na przepływające po niebie obłoki. Dopiero po chwili zauważył krótkobrodego, przestępującego niecierpliwie z nogi na nogę.

– Usiądź, Dwinarze. Jak oko?

– Lepiej, panie prezesie.

– Ta banda twardogłowych wpędzi mnie kiedyś do grobu – westchnął staruszek, a wraz z westchnieniem z jego ust wydobyła się chmura pachnącego cynamonem dymu.

– Udało się? - zapytał niepewnie Dwinar.

– Co? A, tak. Oczywiście... Gdy ochrona rozdzieliła walczących, najciężej rannych zabrano do lazaretu a reszta posadziła wreszcie dupska na krzesłach po prostu powiedziałem im, że wszystko ma być tak, jak zaplanowałeś, chłopcze. Jestem stary, ale nie jestem głupi, a jeśli chodzi o złoto, wówczas mój umysł wyostrza się jak brzytwa. Czasami potrzebny jest powiew świeżego powietrza w wiekowych onucach, he he, jeśli wiesz, co mam na myśli. - Mrugnął porozumiewawczo do młodego krasnoluda, który kompletnie nie miał pojęcia, co na myśli miał Prezes. - Idź, odpocznij, zregeneruj siły i bierz się do roboty, zanim te cholerne długouche pokraki zupełnie wyprzedzą nas w rankingach. Promocjami wewnątrz banku już się zająłem, tym się nie kłopotcz. Skup się na tej twoją filantropią, ja nie mam głowy do uczenia się nowych rzeczy. - Przymknął powieki i w milczeniu dalej cmił fajkę. Dwinar wstał cichutko i opuścił gabinet.

Trzy dni później Dwinar wrócił do pracy – nie mógł wysiedzieć w swoim mieszkaniu na drugim piętrze kamienicy. Ciągle myślał o tym, jak powinien zacząć akcję filantropijną, w jaki punkt uderzyć, by od razu osiągnąć sukces i rozgłos. W końcu wybór padł na małe, biedne plemię dzikich goblinów, żyjących gdzieś na rubieżach Spalonych Krain. Postanowił, że zorganizuje tam akcję dożywiania dzieci, w końcu dzieci najbardziej chwytają opinię publiczną za serce. No i nauka. Może warto nauczyć maluchy podstaw algebry i czytania? Dumał tak, chodząc z kąta w kąt, przestawiając pedantycznie poukładane książki i wycierając nieistniejące drobinki kurzu z mebli. Tak, gobliny będą odpowiednie. Nie znał biednych wiosek elfów, gdyby zaczął wspomagać krasnoludy, wówczas uznano by, że to zwykła pomoc klanowa. Ludzie sami wyrzynali sobie drogę do przeżycia, tak więc małe, pokraczne kreaturki, które nigdy nie toczyły wojen i nie miały pojęcia o bożym świecie wydawały się idealnymi kandydatami na niesienie im filantropijnego kaganka oświaty i

cywilizacji.

Na mapie wykreślił dokładną trasę, jaką ruszy ekspedycja, wykonał profesjonalny kosztorys, zrobił spis ekwipunku i uzbrojony w opasłą teczkę ze wszystkimi papierami, ruszył rażno do krasnoludzkiego banku. Gdy tylko przekroczył próg, od razu zaskoczyły go Zmiany przez duże z. Wnętrze nie cuchnęło stęchlizną i pleśnią, wymieszaną z tanim tytoniem; zamiast tego w powietrzu unosił się zapach świeżo parzonej kawy i kwiatów, które bardzo licznie pojawiły się w hallu, zwieszając się girlandami ze ścian. Okna poodślaniano, wpuszczając do wnętrza mnóstwo światła. Pomiędzy klientami krążył młody krasnolud, proponując kawę, herbatę, dzieciom rozdając ciasteczka. Nie mógł zrozumieć, dlaczego po ugryzieniu smakołyku nieomal każdy berbec zanosił się płaczem; wszak krasnoludzkie brzdące uwielbiały ciasteczka ze sproszkowanym granitem. Dwinnar zatrzymał się, ciesząc oczy swoim małym sukcesem. Przyjrzał się bacznie krasnoludom za kontuarami.

– W czym mogę panu pomóc? - Konsultant wypowiedział te słowa tonem, jakby ktoś go właśnie kastrował. Kąciki ust przez dłuższą chwilę walczyły z obwisłymi policzkami, aż w końcu wygrały batalię i uniosły się, rozciągając tym samym wąskie wargi i ukazując zęby. Może nie był to modelowy uśmiech sprzedawcy, szczerze powiedziawszy grymas bardziej przywodził na myśl osobę, której upuszczono jakiś ciężki przedmiot na stopę, jednak to zawsze jakiś postęp. „Naucz się. Praktyka czyni mistrza” - pomyślał Dwinnar i spojrzał na innego bankowca, właśnie kończącego rozmowę z klientem.

– I jeszcze jedno... proszę pana... - Słowa z trudem przechodziły mu przez gardło. - Tego, no... m i ł e g o d n i a – dokończył z wysiłkiem. Dwinnar był z nich dumny, jak ojciec, który nauczył syna jeździć na rowerze. Zadowolony i podniesiony na duchu ruszył szerokimi schodami na górę, wprost do gabinetu Prezesa, by przedstawić mu plan i kosztorys wyprawy.

Podróż była dłuższa i bardziej uciążliwa, niż się tego spodziewał. W marzeniach zawsze wszystko idzie gładko, tymczasem rzeczywistość, wredna suka, lubi płatać figle. W wyobrażeniach nie było mowy o popsutym parowozie, którego naprawa zajęła przeszło tydzień, niemiłosiernym upale ani przeklętych moskitach. Krasnoludy, które ruszyły wraz z nim, pokryte były czerwonymi, swędzącymi bąblami. Co niektóre nawet zdecydowały się w skwarze na zdjęcie hełmów; morale powoli się łamało. Jednak uparcie brnęli do celu. Aż w końcu, dwa tygodnie później, niż planował, dotarli do miejsca, gdzie powinna znajdować się osada. Małe, prymitywne szałas, byle jak posklecane z wyschniętych patyków, stały puste. Gdzeniegdzie połyskiwały białe kości jakichś zwierząt. Ale mieszkańców ani śladu. Parowóz zatrzymał się, wzniesając chmurę kurzu i wypluwając z siebie kłęby białego dymu. Dwinar wysiadł z maszyny i rozejrzał się załamany wokół. Gdzie się, u licha, wszyscy podziali?

– Halo, jest tu kto? - krzyknął. Z dżungli odpowiedziało mu tylko dziwne jazgotanie, ptasi trel i chrumkanie dzikiej świni.

– No i gdzie są ci twoi ubodzy i potrzebujący pomocy? - zapytał zrzędliwie Barga, wysłany tutaj karnie przez Prezesa.

– Może są w pracy?

– Dobrze sobie... Ciekawe, co powie na to Prezes. Wiesz, ilu wywiadów do gazet udzielił, ile plakatów promujących tę akcję wywiesił w mieście? To ci dopiero, przybyliśmy karmić patyki i uczyć kości rachunków. - Kopnął najbliższy szałas, który rozleciał się w akompaniamencie łamanego drewna. Gdy ostatnia belka dotknęła ziemi, zza ściany drzew rozległ się pisk z setek gardeł. Na polanę wypadła cała masa niewielkich istotek o nieproporcjonalnie wielkich głowach, chudziutkich kończynach i wydętych brzuchach. Dzierżyły długie i koślawe włócznie, których groty zrobiono z ciosanych kamieni i połamanych kości. Wrzeszczały piekielnie, plując śliną i szczerząc małe, ostre

jak igielki zęby. W wyłupiastych, przekrwionych ślepiach czaiło się szaleństwo. Krasnoludy zbiły się w zwartą grupę, dobywając toporów.

– Nie! - wrzasnął Dwinar. - Nie atakujcie ich, jesteście tu, by im pomóc, a nie mordować! Chyba po prostu ich wystraszyliśmy, odłóżcie broń. - Nikt jednak ani myślał wykonać polecenia. Dwinar tymczasem wysunął się naprzód, idąc w stronę goblinów powoli i z uniesionymi lekko rękami.

– Przybywamy w pokoju, nie chcemy was skrzywdzić.

– Gharka wrigun bunda akhi! - wycharczał goblin z pomalowaną na niebiesko twarzą. Dwinar przewrócił oczami; nie przewidział, że nie będą mówiły we wspólnej mowie.

– Je ste śmy tu po to, a by wam po móc – przesylabizował, jakby to mogło przełamać barierę językową.

– Ikha atraki ingu unga! Ingu unga, malakhi! - wrzasnął przywódca zielonoskórych, wskazując na zniszczony szałas.

– A, to. Bardzo przepraszam za kolegę, mam nadzieję, że to wynagrodzi straty – powiedział krasnolud i ostrożnie podał małej kreaturce mieszek. Potworek chwycił go szybko w łapy, jego kamraci wysunęli włócznie w stronę Dwina. Tymczasem szef całej tej czeredy, nie mogąc poradzić sobie z supelkiem, przegryzł rzemień i wysypał na dłoń kilka złotych monet. Przyjrzał im się podejrzliwie, po czym wrzucił wszystkie do pyska i zaczął metodycznie przeżuwać. Po chwili wrzasnął i wypluł dukaty wraz z krwią i kilkoma zębami.

– Nie, to nie służy do jedzenia! - Dwinar próbował mu to wytłumaczyć na migi, szybko machając rękami.

– Ragma magha, tumbu dumbu! - krzyknął goblin, a reszta plemienia szybko podchwyciła:

– Tumbu dumbu, tumbu dumbu, tumbu dumbu! - Zielonoskórzy ruszyli w stronę krasnoludów, oblizując się paskudnie. Wtem rozległ się potężny huk, jakby po niebie przetoczył się grzmot. Gobliny zastygły w bezruchu, wlepiając ślepią w Barge, trzymającego dymiący jeszcze muszkiet.

– Precz, zielona hołoto! - Barga wrzasnął i przeładował. Gobliny, nadal nie mogąc otrząsnąć się z szoku, padły na kolana, bijąc o ziemię czołami i kłaniając się rudobrodemu.

– Gharka mihra, gharka mihra, gharka mihra – mamrotały, podnosząc tułowie i opadając z powrotem twarzami w piach. Konsternacja krasnoludów krystalizowała się wraz z lejącym się strużkami po karku potem.

– Dwinarze, rozumiesz coś z tego? - Barga szepnął do krótkobrodego.

– Nic a nic, ale przynajmniej już nie próbują nas zezreć ani rozszarpać. Mam nadzieję, że nikogo nie trafiłeś?

Barga spojrzał przepraszająco na Dwinara i wzruszył niewinnie szerokimi ramionami.

Przywódca goblinów wstał z klęczków, a za jego przykładem podążyła reszta plemienia. Podszedł do Bargi cały czas mamrocząc „Gharka mihra”. Obszedł krasnoluda naokoło, przypatrując mu się uważnie. Wskazał na jakiegoś goblina, który wychynął z tłumu, prowadząc pod ramię wyjątkowo pomarszczoną kreaturkę z bielmem na obu ślepiach. Stworek pomacał brodę krasnoluda, opukał mu kolano sękatą laską zwieńczoną paciorkami i kilkoma szczurzymi czaszkami, po czym, jak gdyby nigdy nic, odwrócił się do pobratymców, uniósł wysoko ręce i krzyknął:

– Okhari nana, Gharka Mihra! - Gobliny znów podchwyciły zaśpiew jak mantrę, tańcząc i płasając. Zupełnie porzuciły włócznie, ciesząc się i obskakując krasnoludy.

Dwinar nie sądził, że kiedykolwiek spotka alkohol mocniejszy od krasnoludzkiego spirytusu. Co prawda nigdy nie pił za wiele – przynajmniej jak na standardy Krasnoludzkiego Królestwa – choć dla ludzi czy elfów stanowił kompana nie do przepicia. Tym razem pokonały go małe, zielone stworki. Niewiele pamiętał z wczorajszego wieczora, chyba było duże ognisko... Tak, zdecydowanie przypominał sobie płomienie. I jakieś tańczące w rytm bębnow

sylwetki. Wiele sylwetek, wyginających się w dziwacznych pozycjach, na samo wspomnienie których rozbolał go kręgosłup. Potrząsnął głową, strącając z powiek okruchy pijackiego snu. Rozejrzył się wokół; obozowisko wyglądało jak pole bitwy, z tą różnicą, że zamiast jęku rannych zewsząd słyszeć było chrapanie. Cała polana usłana była zielonymi ciałkami, śpiącymi w cudacznych, ekwilibrystycznych pozycjach. Dopiero po chwili zobaczył krasnoludy, leżące gdzieś na obrzeżach. To właśnie one chrapały najgłośniej, powodując u Dwinara korozję mózgu. Złapał się za głowę i westchnął żałośnie. „Ładny początek...” - pomyślał. „Najpierw chcieli nas zarżnąć, a potem urżnęli do nieprzytomności.”

Po dwóch tygodniach pobytu w goblinińskiej wiosce krasnoludy powoli zaczynały rozumieć koślawy język tubylców. Składnia była dosyć losowa, jednak niewielki zasób słownictwa ułatwiał naukę tej gardłowej mowy. Sami też powoli zaczęli wdrażać wielki plan oświecenia zapomnianego ludu; goblinińskie dzieci chętnie skrobały ołówkami po papierze, chociaż jeszcze nie zdarzyło się, by przepisały cokolwiek z wielkiej, kredowej tablicy, którą Dwinar rozstawił pomiędzy drzewami w miejscu zaadaptowanym na prowizoryczną szkołę. Naukę liczenia na liczydłach musieli sobie na razie odpuścić, bo gdy tylko gobliniątka zobaczyły kolorowe paciorki na drucikach, od razu rozbebeszyły urządzenia i zeżarły koraliki. Później przez trzy dni miały ostrą niestrawność, więc siłą rzeczy żadne lekcje się nie odbyły. Dwinar siedział w przerwie między zajęciami i rozmasowywał nasadę nosa. Sytuacja powoli zaczynała go przerastać... Nie dość, że gobliny wcale nie były wychudzone i przymierające głodem, to jeszcze na domiar złego dotarło do niego, że tak naprawdę nie potrzebują ani podstaw rachunkowości, ani sztuki pisania i czytania; no bo z kim mieliby robić interesy? Z lemurami?! Najbliższe cywilizowane państwo leżało tak daleko, że w goblinińskiej mowie nie było nawet określenia na tak dużą odległość. No i co mieli czytać? Przecież tutaj nie ma bibliotek! Księgarni! Tutaj nie ma nic, poza pohukującą i skrzeczącą

dżunglą, naszpikowaną po korony drzew upierdliwymi moskitami!

– Czyżbyś zaczął się poddawać? - Barga spokojnie pykał fajkę, siedząc z półprzymkniętymi powiekami pod drzewem.

– Ja? Nigdy w życiu. Po prostu inaczej sobie to wyobrażałem.

– Niby jak?

– Wiesz, że przyjedziemy jako wybawiciele i w ogóle, podarujemy im frykasy, jakich nigdy nie próbowały ich barbarzyńskie podniebienia...

– Masz na myśli chleb ze smalcem?

– Tak, tak, to też, no bo przecież nie zakładałem, że mają tutaj najlepsze drożdżówki na wschód, zachód, północ i południe od rzeki Pekos! No i to ich wino, mocniejsze od krasnoludzkiego spirytusu. To przecież nie do pomyślenia! Uwierzysz, że przez tyle lat wmawiano nam, że nie da się pędzić jeszcze bardziej wysokoprocentowego alkoholu, bo to grozi samozapłonem, a oni tutaj, w glinianych lepiankach i szalaszach z trawy uwarzyli coś, czym spokojnie można trawić stal?! I przy okazji smakuje jak najlepsze wina z winogron z południowych zboczy Elthranii?!

– Uspokój się, chłopcze. Wczoraj przyleciał gołąb od Prezesa. - Dwinnar zarwał się z miękkiego mchu na równe nogi.

– I mówisz o tym dopiero teraz?!

– A co miałem mówić... Byłeś tak zajęty tymi cudacznymi pokrakami o zbyt wielkich głowach i zdecydowanie za chudych rękach i nogach, że nie miałem serca ci przeszkadzać.

– Co napisał Prezes?

– Ech, list był adresowany do mnie, ale niech ci będzie... Jest bardzo zadowolony z raportów, w drodze jest ekipa gremlinów z New Starfall Times. Mają zrobić krótki reportaż o naszej pracy z biednym, zapomnianym ludem, o poświęceniu związanym z niesieniem pomocy i tych innych bzdurach, które przeforsowałeś na zebraniu. - Barga machnął od niechcienia ręką. - Ogólnie muszę przyznać, choć niechętnie, że miałeś rację z tą twoją filantropią. To

faktycznie nabiło nam trochę punktów w bankowym rankingu. No i ten pomysł z ciasteczkami dla dzieciarni... Odkąd Pagrid zaczął dodawać do nich czekolady zamiast sproszkowanego granitu, cieszą się niebywałą popularnością. W zasadzie to planuje otworzyć ciastkarnię, ponieważ klienci składają mu regularne zamówienia na wypieki.

Dwinar pokraśniał z dumy. A jednak jego starania przyniosły jakiś pożytek! W myślach już urządzał swój nowy gabinet Managera do spraw Promocji i Wizerunku Zewnętrznego. Jak tylko wróci, będzie musiał podsunąć Prezesowi pomysł stworzenia takiego stanowiska, przecież się sprawdziło, prawda? W zdecydowanie lepszym nastroju powrócił do wykładania gobliniątkom algebry.

Zgodnie z zapowiedzą Bargi, już po kilku dniach przybyła grupa reporterów New Starfall Time, by uwiecznić wiekopomne wydarzenia, rozgrywające się w dzikiej głuszy.

– Dzień dobry, panie Graghor. Jestem Ungwo Krirstein i jestem jednym z redaktorów New Starfall Time. Będę miał przyjemność napisać tekst o pańskiej pracy. - Mały, szkaradny osobnik o gigantycznych, poszarpanych i zakończonych w szpic uszach potrząsnął gorliwie dłonią Dwinara.

– Witam, panie Krirstein...

– Krirstein.

– Ach, tak, Krirstein. Cała przyjemność po mojej stronie.

– Być może, być może, ale przejdźmy od razu do konkretów. Nie ukrywam, że nagli mnie czas, podróż tutaj jest diablo długa, a ja muszę zdążyć jeszcze na koncert divy Lorawel Siravandrel w następnym tygodniu. Wyobrazi sobie pan, że tylko mnie udzieliła zgody na wywiad? - Dwinar przyglądał się gremlinowi ze źle skrywaną odrazą. Mały, pokraczny i jeszcze dziwniejszy od goblinów stworek ubrany był zgodnie z najnowszymi trendami mody, w koszulę, zaprasowane wzdłuż spodnie, marynarkę i kawałek materiału zawiązany u szyi jak szubienica.

- Co my tu mamy? - spytał krasnoluda, rozglądając się wokół.
- Znajdujemy się w goblinńskiej wiosce, której przywódcą jest Ghrino Mohdeck, a szamanką Ungudunga Junkurana.
- Ach tak, już sobie notuję. Dostałem informację, że pomagacie tutejszej społeczności, co wy w zasadzie robicie?
- Bank Shengegold postanowił zasponsorować solidne racje żywnościowe dla tubylców, wspomagamy ich oświatę, a raczej tworzymy ją od podstaw, przygotowujemy dorosłe gobliny do wejścia na komercyjny rynek...
- To bardzo ciekawe, niezwykle wręcz... - mamrotał gremlin, skrobiąc coś pogryzionym ołówkiem na pożółkłym papierze. - Co państwa zainspirowało do stworzenia tak niezwyklej inicjatywy? - Dwinar już miał odpowiedzieć, że to tylko takie działanie marketingowe, mające na celu zwiększenie przepływu klientów i odświeżenie wizerunku banku, ale w porę ugryzł się w język.
- Widzi pan, bank Shngegold to nie tylko obrót pieniędzmi - zaczął po chwili namysłu. - To również idea pomagania tym, którzy sami nie mogą sobie pomóc. To niesienie kaganka oświaty tam, gdzie panuje mentalna ciemność, to wyciąganie ręki ku tym, którzy nie ośmielają prosić o cokolwiek. Dlatego właśnie tu jesteśmy. By przynieść światelko cywilizacji, by ukazać blask dobra. Gremlin zapisywał wszystko koślawym pismem tak szybko, że Dwinar nawet nie musiał zwalniać mówiąc. Znad notesu aż się kurzyło.
- Jeżeli nie ma pan nic przeciwko, to zrobimy kilka fotek fotografikonem i uciekamy, obowiązki wzywają.
- Wzięliście ze sobą fotografikon?
- Oczywiście. Przecież inaczej nikt by nam nie uwierzył, że ktokolwiek ruszył na sam koniec nigdzie, pomagając nie wiadomo komu. To dosyć niecodzienne zjawisko.

Dopiero, gdy gremliny odjechały, Barga podszedł do Dwinara i położył mu rękę na ramieniu.

– Chłopcze, pamiętasz, jak mówiłem ci o piśmie od Prezesa?

– No tak.

– No właśnie. Napisał, że po odwiedzinach tych pismaków mamy natychmiast wracać.

– Ale dlaczego? Przecież dopiero co nauczyliśmy się z nimi porozumiewać. – Wskazał głową na dłubiącą w nosie zieloną istotkę. – Zaszczepiliśmy w nich chęć nauki i...

– Cicho, młodzieńcze... – westchnął Barga, uciszając Dwinara gestem dłoni. – Polecenie Prezesa jest jasne, uczynimy jak kazał. Chyba nie zrobi ci się przykro, gdy zostawimy tę dzicz, wracając do normalnego świata? Dwinar zastanowił się przez chwilę. Dopiero teraz dotarło do niego, że naprawdę pokochał te niesforne dzieciaki, zjadające kredę i ciskające w siebie ostrosłupami wyciosanymi z drewna. Dla tych goblinów byli naprawdę kimś ważnym, kimś, z kim można było porozmawiać, kto widział więcej, więc zapewne jest mądrzejszy. Wiedział, że byli iskierką radości w trudnym, bądź co bądź, goblinśkim życiu. Nie chciał tak tego wszystkiego zostawiać, rzucać w cholerę, gdy w zasadzie dopiero zaczął. Najchętniej zostałby tutaj, by móc patrzeć, jak te gobliniątka, które z takim mozołem uczy czytać i pisać, doczekają się swojego potomstwa i przekażą mu nabytą wiedzę. Chciał zobaczyć pełnię piękna kwiatu, który posadził i pielęgnował. Bezinteresowne czynienie dobra zawładnęło nim doszczętnie; zrozumiał, że w życiu nie chodzi o to, ile się ma, ale kimś się tak naprawdę jest dla innych.

Dwinar siedział w swoim nowym gabinecie Managera do spraw Marketingu i Wizerunku Zewnętrznego. Gładził opuszkami palców nowiutkie, lakierowane biurko. Drewno było chłodne, wszystko tutaj było jakieś takie...

mroźne. I marmurowe ściany, i pozłacane kinkiety. Nawet światło było nieprzyjemnie zimne. Jego wzrok raz po raz wędrował ku dużemu zdjęciu, oprawionemu w szkło i srebrną ramę. Siedział na nim wraz z trójką małych goblinów. Rutti tutti obejmował go za szyję, Mikki Mako wspinał się na plecy krasnoluda a Rakka Nikra gramoliła mu się na kolana. Im dłużej wpatrywał się w obrazek, tym bardziej był na siebie zły. Zły, że wrócił, a nie pozostał tam, gdzie był naprawdę potrzebny. Nabił fajkę wiśniowym tytoniem, tym od Thommsona. Wypuścił z ust kłęb pięknie pachnącego dymu i wlał do kielicha czerwone wino. Nie smakowało mu tak jak kiedyś. Niby miał wszystko, czego mógł sobie zamarzyć; świetną pensję, uznanie Prezesa, piękny gabinet, trunki najwyższej klasy, ale wewnątrz był pusty. Czuł się jak wydmuszka, ładna z zewnątrz, ale krucha, nie posiadająca nic w środku. Drzwi otwarły się i stanął w nich sam Prezes. Dwinar wstał, gdy tylko zobaczył przełożonego.

– I jak, chłopcze, podoba ci się twoje nowe miejsce pracy? – zagadnął stary krasnolud, moszcząc się wygodnie w przepastnym fotelu, stojącym po drugiej stronie długiego biurka.

– Szczerze powiedziawszy, czegoś mi brakuje...

– Mów śmiało, twoja kreatywność i innowacyjność zapewniły nam powrót na szczyt, to jest twoja zasługa! Cóż bank Shengegold może dla ciebie zrobić?

– Chyba... chyba chciałbym tam wrócić...

– Gdzie?

– No... Do dżungli, do goblinów.

Prezes machnął od niechcienia ręką, jakby odpędzał natrętą muchę

– Nonsens. Twoje miejsce jest tutaj. Po co miałbyś wracać pomiędzy tych nic nie wartych dzikusów?

– Ja... Myślę, że mógłbym tam zrobić coś dobrego. – Przed oczyma Dwinara na powrót stanęło pożegnanie z wodzem plemienia i innymi

goblinami. Ich ślepie skrzyły się od łez, gdy oznajmił im, że wraca. Uszy zwiesiły się jak u skarconych psów. Nawet ptaki jakoś umilkły.

– Coś dobrego już zrobiłeś, chłopcze. Odbudowałeś naszą pozycję.

– Nie to miałem na myśli...

– Chyba nie uważasz, że wracanie tam, to dobry pomysł, hm? – Dwinar spuścił wzrok. – Pozwól, że coś ci powiem, młodzieńcze. Takich plemion są setki. I wiesz co? Nie mają znaczenia, bo nie mają złota. Nie mają żadnej pozycji. Są nikim, nikt o nich nie usłyszy, ani nie zapisze ich na kartach historii. Są nieważni, nieistotni. Równie dobrze mogliby zniknąć z powierzchni ziemi. I wierz mi, nie zostałyby to zauważone. Tak jak ich marna egzystencja. Tutaj jest prawdziwe życie! Bo tutaj jest złoto. I tylko ono się liczy. I nawet w pseudobezinteresowności trzeba umieć odnaleźć zyski, inaczej się nie opłaca.

Niezapomniane wrażenia

Elros Inglorion siedział przy swoim biurku, rozświetlanym jedynie niewielkim płomykiem, pełgającym na knocie ogarka świecy. Równym, pięknym pismem wprowadzał w kolejne rubryki rzędy cyfr. Pióro furkotało tuż przed jego nosem, z ust wychynał przygryziony koniuszek języka, jakby miał pomóc elfowi w obliczeniach. Elros odgarnął kosmyk jasnych włosów z czoła i ponownie zamoczył stalówkę w stojącym nieopodal kałamarzu. I wtedy zdarzyła się prawdziwa tragedia; oto krągłe zero zagubiło swój doskonały kształt, zamieniając się w upiornego kleksa. Księgowy spojrzal z przerażeniem na atramentową maszkarę i chwycił szybko ligninę, starając się przekazać jej całą czerń niesfornego tuszu. Jego nadgorliwe usiłowania wywabienia plamy okazały się daremne; kleks jak powstał, tak uparcie trzymał się chłonnego pergaminu oprawionej w skórę grubej księgi.

- Na złote pióra Celahira! – zaklął pod nosem i odłożył bezużyteczną szmatkę na pedantycznie wręcz czysty blat. Plama kłuła go w oczy, psuła nastrój i neomal wywoływała ból zębów. Elros zamknął z trzaskiem księgę rachunkową. Przeterł ze znużeniem powieki i mrugnął szybko parę razy. Zdecydowanie musi od tego odpocząć. Poranna awantura była tylko jedną z wielu kropel goryczy, jednak to właśnie ona przepełniła nabrzmiałą żalem czarę. Tym razem zgrzeszył... nie, zdecydowanie nie miał ochoty wspominać wyrzutów czynionych mu o papier położony pod złym kątem przed przelożonym. Potrzęsnał głową, jakby to miało pomóc w odrzuceniu od siebie nachalnych myśli. Westchnął głęboko i, wzięwszy wolną kartkę, napisał:

Wasza Ekscelencjo Maestro Tloluinie Amitielu, Pierwszy spośród Mistrzów Magii Elfiego Królestwa, Strażniku Vanimedlee. Wziąwszy pod uwagę, że służę Wam umysłem i umiejętnościami od przeszło dwudziestu wiosen bez jakichkolwiek dłuższych przerw w swoich powinnościach uznałem, iż niezbędny jest mi wypoczynek od cyfr i ciężącej na moich barkach odpowiedzialności,

oczywiście wszystko po to, by jeszcze lepiej móc przyczynić się do wzrostu wspaniałości Prześwietnego Kolegium Magii. Termin mojego urlopu pozostawiam Wam, jednak byłbym wielce zobowiązany, gdyby jego czas przypadł w najbliższym dziesięcioleciu.

Z wyrazami najgłębszego szacunku

Elros Inglorion.

Przesunął wzrokiem po zdobnych, pochyłych literach i złożył dokument na pół, idealnie równo i schludnie. Miał nadzieję, że nie będzie to kolejny powód do niezadowolenia arcy maga.

Dzień wstał piękny i słoneczny, toteż Elros obudził się w wyśmienitym nastroju. Przeciągnął się, pościelił łóżko i wykonał kilka skłonów na poprawę krążenia, a wszystko to przy akompaniamencie ptasich treli. Właśnie kończył zapinać guziki przy śnieżnobiałej, gładkiej koszuli, gdy ktoś nieśmiało zapukał do drzwi.

- Proszę wejść – powiedział radosnym tonem. Odrzwia jego apartamentu, umiejscowionego w południowym skrzydle Kolegium Magii uchylły się i próg przestopiała Ireth, śliczna, rudowłosa służka, niosąca na tacy dzbanuszek parującego kakao, świeże, chrupiące bułeczki, miseczkę dżemu truskawkowego i mnóstwo innych pyszności. Postawiła je na okrągłym stoliku i uśmiechnęła się do księgowego.

- Smacznego, panie Inglorion. – Dygnęła z gracją i zniknęła tak szybko, jak się pojawiła, nim Elros zdążył jej podziękować.

Sielanka śniadania, która rozleniwiała elfa i sprzyjała błędzeniu wśród obłoków i myśleniu o niebieskich migdałach, została przerwana ponownym stukaniem w futrynę, lecz tym razem gość nie czekał na zaproszenie, a jedynie informował o zamiarze dostania się do środka. Klamka ustąpiła pod ciężarem

dłoni Gelmira, jednego z adeptów magicznej sztuki. Elros zamarł z kanapką w połowie drogi do otwartych ust i zmarszczył brwi. Młody elf, kryjący swoją szczupłą sylwetkę pod przepastnymi szatami nowicjusza, był blady i wyglądał jak chodząca zła nowina.

- Panie Inglorion – zaczął niepewnie. – Maestro chce pana widzieć. Teraz. – Spojrzał przepaszająco na księgowego i poczekał, aż tamten przełknie, po czym poprowadził go plataniną krętych korytarzy Kolegium wprost do przestronnej komnaty Tloluvina. Starzec siedział, jak zawsze, w głębokim, obitym pluszem fotelu o podłokietnikach zwieńczonych ciemnym drewnem, rzeźbionym na kształt lwich łap. Patrzył za przestronne, zajmujące całą ścianę okno, wychodzące na wschód, delektując się ciepłym światłem słońca, niespiesznie zalewającym kwitnący, wiśniowy sad, podążając wzrokiem za uwijającymi się pracowicie wśród różowych kwiatów pszczołami. Zdawał się nie zauważyć przybycia Ingloriona, powoli poruszał ustami, jakby coś liczył, a może bezgłośnie wypowiadał skomplikowaną inkantację. Elros nie chciał mu przeszkadzać, niezależnie od tego, czym akurat zajęty był sędziwy umysł arcymaga. W końcu, po dość długim oczekiwaniu Amitiel przeniósł spojrzenie z sadu na młode elfy, pokornie czekające nieopodal dwuskrzydłych, uchylonych drzwi. Uśmiechnął się blado, co Elros przyjął z wielką ulgą, bowiem Tloluwinowi rzadko zdołało się wyrażać zadowolenie. Wodniste oczy sędziwego elfa spoczęły na nim, okalająca je siatka zmarszczek wygładziła się.

- Dziękuję, Gelmirze, możesz odejść. – Student skłonił się i wycofał z pomieszczenia, cicho zamykając za sobą drzwi.

- Elrosie Inglorionie, dzisiaj rano otrzymałem twoje pismo. Myślałem nad każdym zapisanym przez ciebie słowem i nie sposób nie przyznać ci racji. Dlatego też zezwalam, choćby i od dzisiaj. Każdy potrzebuje odpoczynku, nawet one. – Zatoczył suchą ręką okrąg, wskazując na ogród i bzyzące w gałęziach poskręcanych wiśni pszczoły. Elros nie wierzył własnym spiczastym uszom, dyskretnie uszczypnął się, upewniając, że nie śni.

- Dziękuję, Maestro, za zrozumienie. Z całego serca rad jestem, iż zezwolenie wydałeś tak prędko. Jest to dla mnie bardzo ważne.

- Jedź na wakacje, młodzieńcze, zregeneruj siły i wróć ze zdwojoną energią. Masz już jakieś konkretne plany?

- W zasadzie jeszcze nie, szczerze mówiąc nie przypuszczałem, że termin mojego wolnego od obowiązków czasu przypadnie tak prędko.

- Pozwól zatem, że polecę ci coś. Sam byłem na tej fantastycznej wycieczce. To sprawdzone miejsce, na pewno ci się spodoba. – Podał Elrosowi poźółkłą broszurkę. – Ulotka nie jest może pierwszej nowości, ale z tego, co mi wiadomo biuro organizujące tę podróż nadal prowadzą niziolkowi bracia, Sancho i Bungo Frumblefoot of Bywoter. Niegdzie nie podają takich pstrągów, jak w tamtym hotelu. – Księgowy przejrzał ulotkę i zmarszczył brwi.

- Obawiam się, że jednak chyba nie będę mógł skorzystać z tej oferty... Zdecydowanie przekracza moje finansowe możliwości.

- Elrosie, z radością pokryję koszta związane z twoimi wakacjami, w pełni na nie zasłużyłeś. Pozwól, że w ten sposób wynagrodzę ci wszystkie... – Zastanowił się, szukając odpowiedniego słowa. – niedogodności, wynikające z naszej współpracy. – Inglorion zamrugał parę razy, nie dowierzając, że usłyszał coś w rodzaju przeprosin z ust starego maga. Zdecydowanie, pewnie niebawem obudzi się we własnym łóżku, zaśmieje sobie w twarz odbitą w lustrze, a potem otrzyma reprimendę za próbę zaszkodzenia płynnej działalności Kolegium.

- Elrosie? – Zdał sobie sprawę, że przegapił coś, co do niego mówiono.

- Przepraszam, Maestro, ciężar niespodziewanej wiadomości przygniótł mnie do ziemi, by po chwili unieść pod niebo na skrzydłach nieokiełznanej radości. – Mag przyjął to wytłumaczenie z uśmiechem.

- Idź się spakować, ruszasz jutro z samego rana. I masz się dobrze bawić.

Stojąc na korytarzu, tuż za drzwiami gabinetu Maestro Amitiela Tloluvina Elros wyglądał jak ktoś, kto przeżył ciężki szok pourazowy albo stracił pamięć.

Błądził niewidzącymi oczyma po doskonale znanym sobie wnętrzu, muskając tylko spojrzeniem liczne portrety i kinkiety, rozświetlające błękitnym poblaskiem hall. Sprawiał wrażenie, jakby każda część jego ciała miała zamiar wykonać coś zgoła odmiennego od pozostałych, bez najmniejszej konsultacji z mózgiem. W końcu, wzięwszy dwa głębokie wdechy, ruszył rażno do swoich pokoi, by przygotować się na wyprawę. Znalazłszy się w apartamencie zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, cóż mogłoby mu się przydać na wycieczce reklamowanej jako pozostawiająca niezapomniane wrażenia. Wyciągnął spod łóżka skórzaną walizkę i z pietyzmem począł układać w niej ubrania, rzeczy osobiste, jakieś szpargały, mające rozproszyć nudę podróży ku docelowemu miejscu pobytu. Ośrodek wypoczynkowy zlokalizowany był na wybrzeżu niewielkiej wyspy, opisanej, jako dziewicza, jeśli oczywiście nie liczyć kilkuhektarowego terenu należącego do prowadzonego przez elfy hotelu wraz ze wszystkimi przyległymi doń parkami rozrywki. W broszurze napisano, że oferują zwiedzanie dziczy, oczywiście z wykwalifikowanym przewodnikiem, znającym wszystkie zakamarki owej wyspy. Im dalej w las peanów na cześć atrakcji, tym mniej dziwictwa było w nieokiełznanym miejscu. Ale nie o to chodziło. Miał jechać daleko od Kolegium, liczb, rachunków i wiecznych utyskiwań Maestra. I to było najpiękniejsze.

Obudził się, zanim nieśmiałe promienie wstającego słońca rozjaśniły ciemny horyzont. Podekscytowanie nie pozwoliło mu dłużej błądzić po krainie sennych marzeń, i tak po brzegi wypełnionej wizjami nieomal magicznego pobytu w głuszy. Leżał dość długo z szeroko otwartymi oczami, ciesząc się jak małe dziecko, nie mogące doczekać się prezentów urodzinowych. Równo z brzaskiem był już na dziedzińcu, gdzie oczekiwał na niego niewielki powóz, zaprzężony w dwa kasztanowe wałachy. Woźnica pomógł mu wtaszczyć bagaż do środka, przytrzymał drzwiczki i gdy tylko upewnił się, że pasażer siedzi wygodnie, trzasnął z bicia nad końskimi grzbietami. Ruszyli traktem w stronę

pomarańczowego świtu, minęli powoli budzące się miasto, wjechali w sosnowy las, aż w końcu dotarli do portu. Smukłe łodzie i majestatyczne statki cumowały przy redzie, opuszczały główki, sunęły przez spienione fale. Gwar i rwetes, towarzyszące załadunkom i rozładunkom zagłuszony został rykiem. Elros, wysiadając z powozu aż otworzył ze zdziwieniem usta, gdy nieopodal wylądowała przedziwna machina. Zeppelin, o kolorowym balonie właśnie usiadł z chrzęstem na wyznaczonym mu miejscu. Sługa od razu dostarczył nań inglorionowy bagaż.

- Udanych wakacji – życzył księgowemu, energicznie potrząsając jego dłonią. Elros nigdy w życiu nie latał. Podszedł nieufnie do Zeppelina i wspiął się po drabinie do koszyka pod wielkim, ogrzewanym żarem ognia balonem. Pilot, krępy krasnolud, którego oczy schowane były za grubasnymi goglami, uśmiechnął się do niego i podkreślił rude wąsiska, łączące się z pozaplataną w fantazyjne warkocze długą, sięgającą opasłego brzuszyska brodą.

- Witaj, elfie, na pokładzie Q0001/2586RW. – Elros skłonił mu się bez słowa i przeniósł spojrzenie na pozostałych pasażerów. Spowita atlasową chmurą różowej sukni młoda dama od razu przykuła jego uwagę natrętnym szczebiotem, skierowanym do starszego dżentelmena, z grzeczności przytakującemu jej bezsensownej paplaninie. Pochwycił ze zbolałą miną wzrok elfa, jakby szukał u niego pomocy. Elros jednak nie zamierzał wybawiać go z opresji i przysiadł się do pochmurnego mężczyzny, którego ciemna karnacja i ostre rysy twarzy wskazywały na dalekie, połudnowe pochodzenie. Ćmił spokojnie długą fajkę, co i rusz wypuszczając z kącika ust kłęby aromatycznego dymu. Elfowi odpowiadało jego milczenie, sam zamierzał odpocząć i rozkoszować się nowymi doznaniem płynącymi z doświadczenia pierwszego w życiu lotu Zeppelinem. Śmigło na rufie zafurkotało, silnik ryknął, pilot podkreślił płomień i unieśli się w górę, żeglując coraz wyżej.

- Wie pan, czytałam, że żyją tam dzikie plemiona goblinów, to faszynujące, nie uważa pan? Podobno będziemy mogli je zobaczyć z całkiem bliska, napisali,

że otrzymamy niepowtarzalną możliwość przyjrzenia się ich codziennej, miernej skądinąd, tak uważam, egzystencji. Wie pan, one wierzą, że spojrzenie w twarz może odebrać duszę, dlatego noszą przez cały czas wielkie, drewniane maski, mające tylko niewielkie otwory na oczy? Ponoć malują je w przeróżne wzory, a ilość kolorów i zawilość barwnej płataniny wskazuje na status takiego goblina w ich prymitywnej społeczności. To doprawdy niecodzienne, prawda? – Kobieta nie poczekała nawet, aż słuchacz jej monologu zdąży cokolwiek odpowiedzieć i zalała wszystkich kolejną falą snobistycznego słowotoku.

- Mówiono mi również, że żyją tam przeróżne egzotyczne zwierzęta, w tym jadowite węże. Widziałam rycinę, na której przedstawiono niejakiego miłośnika foxburra, należącego do rodziny loamsdown. Mają bardzo kolorowe łuski, a ten ponoć jest najbardziej jadowity ze wszystkich. – Klasnęła w ręce, jakby było się z czego cieszyć. Elf nawet nie patrzył w jej stronę, by przypadkiem nie okazać się kolejną ofiarą wykładu o niebezpieczeństwach, jakie mogą spotkać na miejscu. Przymknął oczy i jednym uchem wpuszczał, drugim wypuszczał rewelacje o wielkiej wywernie, śpiącej gdzieś w leśnej gęstwinie i o małych rybkach o paszczach pełnych ostrych zębisk, zamieszkujących nieomal każdą sadzawkę. Nie wiedział nawet kiedy zapadł w sen, w którym uciekał przed hordą zamaskowanych goblinów, lecących za nim na wielkiej, błonistoskrzydłej wiwernie. Obudził się, gdy już miał zostać pożarty przez przerażające rybki i odkrył, że pilot miękko sadza maszynę na polanie.

- Proszę państwa, oto Burghwald Swensonn ponownie bezpiecznie przywiózł pasażerów do wakacyjnego rajku. Dziękujemy za skorzystanie z linii lotniczych Swensonn & Swensonn i życzymy udanego urlopu! – Do Zeppelina podeszło kilku rośliwych mężczyzn o jednakowych, czerwonych strojach, w śmiesznych, cylindrycznych nakryciach głowy zwieńczonych czarnym daszkiem. Na ich czele dreptała smukła, drobna elfka w jasnej sukience, ściskająca pod pachą bordową teczuszkę. Poczekała, aż obsługa pomoże gościom opuścić maszynę i przywitała ich.

- Witam państwa na Rajskiej Wyspie. Nazywam się Nessa Ciryatan i jestem gospodarzem hotelu, który zechcieli państwo zaszczyścić swoją obecnością. Bardzo proszę o podanie godności, dzięki czemu szybko i sprawnie będziemy mogli wskazać państwu odpowiednie pokoje. – Otworzyła teczkę i wyjęła ostry ołówek. Elros rozejrzał się wokół; polana otoczona była pięknym parkiem o równo przystrzyżonej trawie, malowniczych rabatkach kwiatów, nad którymi trzepotały wielkie motyle. W oddali widział duży budynek, jeśniejący bielą ścian w połudnowym słońcu. Nieopodal, na brukowanym trakcie jeden z koni zaprzęzonych do powozu skrobał kopytem kamienie.

- Księżniczka Ruthoff, Sabina Ludwika Ernesta Kamila de l’Aguille – przedstawiła się jedyna dama spośród gości.

- Hrabia Gotfryd von Hallenbridge – ozwał się wymęczony opowieściami lady l’Aguille dżentelmen, przecierając jedwabną chusteczką monokl.

- Sir Negrete Carrasquillo.

- Elros Inglorion. – Elfka przeszukała listę gości, ze zmartwieniem zmarszczyła brwi, jeszcze raz sprawdziła dokument, po czym spojrzała przepaszająco na nich.

- Najmocniej przepraszam, państwo wykupili wycieczkę niziolkowego biura podróży Sancho i Bungo Frumblefoot of Bywoter?

- Owszem, czy jest z tym jakiś problem? – spytał hrabia von Hallenbridge, na powrót zakrywając oko szkłem.

- Bardzo mi przykro, ale dzisiaj rano przyleciał gołąb z informacją, że biuro... zbankrutowało. Panowie Sancho i Bungo wybrali cały depozyt z krasnoludzkich banków. Niestety, nie otrzymaliśmy zapłaty za państwa pobyt. – Rozłożyła bezradnie ręce.

- Co?! – wrzasnął krasnolud, do tej pory milcząco przysłuchujący się całej rozmowie.

- Przykro mi, panie Swensonn. Obawiam się, że pan również nie otrzyma wynagrodzenia za przelot.

- Przeklęte, małe, włochatostope pokraki! Już ja się z nimi policzę! – odgrażał się rudobrody. W końcu, rozsierdzony, założył gogle, wsiadł do Zeppelina i uniósł się w powietrze z ogłuszającym rykiem pracującego ze zdwojoną siłą silnika. Po chwili sylwetka podniebnej maszyny została tylko małą kropką nad morzem.

- Nasze bagaże! – krzyknęła księżniczka. – Zostały na pokładzie! – zwróciła się już do Nessy. – I jak my teraz zapłacimy za powrót?!

- Rozumiem, że nie mają państwo przy sobie pieniędzy?

- Obawiam się, że wszystko zostało w walizkach. – Sir Carasquillo wydawał się jednak być wyjątkowo spokojny.

- Niestety, w takim razie jestem zmuszona prosić państwa o opuszczenie terenu hotelu.

- Cooo?! – Twarz księżniczki przybrała kolor jej wściekle różowej sukni i łagodnie przeszła w bordo. – To jest skandal! Pani nie wie, kim ja jestem! Co wy sobie wyobrażacie! Żądam, byście zaprowadzili mnie do mojego pokoju!

- Przykro mi, ale to nie jest możliwe. – Konsternację, jaka zapadła, można by było kroić nożem. Elrosowi aż zakręciło się w głowie. Opuścić hotel? Zostać sam na sam z tymi przeklętymi bestiami czyhającymi w dżungli? Bezwiednie podążył, jak owca za stadem, wraz ze swymi towarzyszami, prowadzonymi przez ochronę, ku wielkiej, żelaznej bramie, która zatrzasnęła się za nimi, wśród wrzasków piekielnej księżniczki.

- I co my teraz zrobimy? – Lady l’Aguoille usiadła na pniu zwałonego drzewa i rozplakała się. – Jak oni w ogóle śmieli nas potraktować w ten sposób! Jak tylko wrócę mój ojciec kupi tę wyspę, hotel każe zrównać z ziemią a ich wszystkich wychłostać! – zaszlochała. Hrabia Hallenbridge ze stoickim spokojem podał jej chusteczkę, którą przyjęła z wdzięcznością.

- Z tego, co mi wiadomo nieopodal przebiega morski szlak handlowy. Jeżeli dostaniemy się na drugą stronę wyspy, wówczas być może uda nam się

jakoś zaalarmować jakąś załogę, że potrzebujemy pomocy – odezwał się melodyjnym głosem sir Carrasquillo.

- Skąd o tym wiecie? – podejrzliwie zapytał hrabia.

- Pływałem za młodu tu i tam, parę razy byłem w tych rejonach.

- Jest pan marynarzem?

- Nie. Po prostu kiedyś byłem bardzo niespokojnym duchem, chcącym spróbować wszystkiego, czego zabraniał mądry i stateczny ojciec, świeć Amrocie nad jego duszą.

- Zna pan tę wyspę? – Księżniczka spojrzała na niego z nadzieją w załzawionych oczach.

- Niestety, panienko, nie tak, jakbym sobie tego w tym momencie życzył. Znam jedynie linię brzegową. Zła wiadomość brzmi tak, iż jedyne dwie plaże, jakie się tu znajdują, to ta należąca do hotelu i ta po drugiej stronie wyspy. Reszta to poszarpane skały, przez które na pewno nie przejdziemy.

- Zatem sugeruje pan konieczność przebycia dziczy wzdłuż, nie naokoło?

- Dokładnie, panie hrabio. – Elros przysłuchiwał się ich rozmowie i nie wierzył własnym zmysłom. Uznał, że oczy płatają mu upirnego figla a uszy nagle przestały odbierać dźwięki, jak powinny. Powoli zaczynał żałować, że w ogóle opuścił chłodne mury Kolegium. Może narzekania starego maga wcale nie były takie złe? Na pewno lepsze, niż groźba pożarcia przez tubylców, utonięcia w bagnie czy śmierć z braku wody, wszak słonej pic się nie da a słodkie zbiorniki pełne są krwiożerczych, płetwiastych bestyjek.

- Jeżeli chcemy tam dotrzeć, to proponuję ruszyć od razu... – nieśmiało zasugerował elf. Spojrzenia wszystkich skupiły się na nim. Nie lubił być w centrum uwagi, więc skurczył się w sobie, jakby chciał schować się za własnym, coraz bardziej wydłużonym cieniem.

- Myślę, że imć elf ma rację. – Były obieżyświat przeciągnął się i zwrócił twarz ku pohukującej i poszczekującej gęstwinie poplątanych drzew.

Elros nigdy nie myślał, że las może być tak żywy. Co chwila coś uskakiwało spod ich stóp, pełzało w trawie, chowało się w gałęziach. Czuł na sobie mnóstwo podejrzliwych spojrzeń. Przedzierali się przez dżunglę z mazołem, coraz bardziej zirytowani narzekaniami młodej damy, która utyskiwała co chwila, a to na poszarpany rąbek sukienki, odciski na stopach, obutych w ciekie trzewiki, pajęczyny lepiące się do włosów i felerne biuro podróży. Wędrówka była prawdziwą udręką; niewidzialny szlak cały czas wiódł ich pod górę, utrudniając marsz jeszcze bardziej. Wtem hrabia nadepnął na jakiś patyk, który nagle ożył pod ciężarem jego stopy i boleśnie wpił dwa długie kły w łydkę arystokraty, pozostawiając na niej dwie perlące się czerwienią dziurki. Jego wysokość wrzasnął przeraźliwie, płosząc przyczajone w koronach drzew ptactwo i padł na ziemię krzycząc, że ukąsił go miło foxburr. Sir Carrasquillo odwrócił się i w ciągu chwili był już przy wyjąłym opętańczo mężczyźnie. Odciał wyciągniętym zza pasa sztyletem nogawkę i ze znawstwem zbadał ranę.

- Przytrzymajcie go, trzeba pozbyć się jadu, inaczej umrze – rozkazał tonem nie znoszącym sprzeciwu. Wystraszony Elros wykonał jego polecenie, lady l'Agouille prędko poszła w jego ślady. Południowiec przyłożył wargi do ranki, po chwili splunął w bok, przewiązał dziurki czystym materiałem i uśmiechnął się do hrabiego.

- Wszystko powinno być dobrze, niech się pan nie przejmuję.

- Ja umrę! Na Gelmira Gromowładnego, umrę! – zawył.

- Nic panu nie będzie.

- Mam mroczki przed oczami, duszę się, duszę się!

- Panienko, proszę już puścić hrabiego.

- Ja już nigdzie nie pójdę, ja umieram!

- Proszę wstać, musimy ruszać!

- W ogóle nie masz szacunku dla umierającego człowieka, młodzieńcze! – Hrabia obrzucił sir Carrasquill'a morderczym spojrzeniem, po czym powrócił do żalosego zawodzenia. Carrasquillo westchnął zrezygnowany i, widząc że nic

nie wskóra, naprędce splótł z gałązek i lian niewielkie nosze, na których ułożono zrozpaczonego mężczyznę. Dalsza droga była jeszcze żmudniejsza, Elros, ciągnący wraz z sir Carrasquillo rannego czuł, jak na dłoniach powstają mu bolesne pęcherze.

- Cii, słyszeliście? – szpenęła wystraszona lady l'Agouille. Rzeczywiście, gdy tylko słońce skryło się za horyzontem las, do tej pory gwarny, rozbrzmiał jeszcze większym hałasem. A pośród harmidru wyłowili dźwięk odległych bębenków.

- Co to jest?

- Gobliny! – Dźwięk zaczął ich otaczać z każdej strony, nie wiedzieli, gdzie należałoby uciekać. Nawet hrabia, dotychczas konajacy, jakby cudownie ozdrowiał, bo zerwał się na równe nogi.

Wtem, spomiędzy krzewów zaczęły wychylać się niewielkie istoty, sięgające podróżnikom nie wyżej, jak do kolan. Zza drewnianych, barwnych masek, kształtem przypominających trójkąty wierzchołkiem zwrócone ku dołowi wystawały tylko długie, odstające na boki i powygryzane w wielu miejscach uszy. Kreatury pobrzękiwały przy każdym podskoku drewnianymi paciorkami, zdobiącymi trawiaste spódniczki. Każdy z goblinów dzierżył włócznię, zakończoną kamiennym grotem. Pokrzykiwały coś w niezrozumiałym języku, brzmiącym, jakby ktoś krztusił się zbyt dużym kawałkiem jabłka, lecz w potoku karykaturalnych wyrażeń można było wyłowić pojedyncze słowa, pochodzące niewątpliwie ze Wspólnej Mowy. Nie napawały optymizmem; charkot przetykany był bowiem wzmiankami o rychłej kolacji, ofierze, krwi i kłatkach. Na nieszczęśników, otoczonych ze wszech stron kilkurzędowym wianuszkim goblinów spłynął blady strach. Sir Carasquillo wyciągnął z pochwy rapier o fantazyjnej rękojeści, machnął nim finezyjnie przed sobą, odganiając nieco niespodziewające się oporu gobliny. Przyjął piękną postawę szermierską, oczekując na ruch przeciwników. Stworzenia naradzały się przez

chwile, po czym z wrzawą i furią runęły na podróżników, zalewając ich swoją masą i po chwili przygważdżając do podłoża. Elros poczuł straszny ból w barku, gdy kilka szkarad usiłowało zawiązać mu ręce na plecach, z trudem walczył o każdy oddech, unosząc głowę tuż nad mchem. Reszta jego kompanów wcale nie radziła sobie lepiej i nim ostatnie promienie całkowicie utonęły w odległym morzu dziesiątki małych łapek uniosły ich nad głowami, niosąc gdzieś w głąb dżungli z radosnym śpiewem, zniekształconym przez zakrywające im twarze maski. Więźniowie z przerażeniem w oczach i wołaniem o pomoc na ustach sunęli pospiesznie naprzód, chłostani nisko wiszącymi gałązkami. Odgłos bębnow był coraz mocniejszy i niebawem znaleźli się na rozległej polanie, upstrzonej wielobarwnymi wigwamami. Po środku płonęło wielkie ognisko, którego granice wyznaczały równo poukładane kamienie i, o zgrozo, czaszki. Bezceremonialnie rzucono zdobycz na ziemię wśród wesołych okrzyków pozostałych członków plemienia. Wtem, z największego namiotu, na szczycie którego pysznił się upiorny totem, zwieńczony kozłim łbem, wyszedł goblin skryty za przepiękną maską ozdobioną wielobarwnym pióropuszem. Podszedł niespiesznie do łowców, podpierając się sękatym kosturem, wskazał na przerażonych jeńców i potrząsnął z uznaniem głową.

- Ludziaki i elfiaki być smaczne – powiedział w końcu do brańców. – Mieć miękkie mięso i szybko się gotować. – Byli pewni, że uśmiechnął się paskudnie, choć nie mogli dostrzec jego twarzy. Chciał, żeby ich zrozumieli i to było tym potworniejsze.

- Jeden ranny – poinformował największy z wojowników, ten, który w końcu rozbroił sir Carasquillo.

- Wy go nadgryźć?

- Nie, Wielka Szamańska Wodza. On już być nadgryziony. Przez unga bunga ślizgopłaza.

- Puchnąć?

- My nie mieć czasu sprawdzać, ale on troszeczko podśmierdywać. – Zbliżył się do przerażonego hrabiego i zerwał opatrunek z jego łydki. Wielka Szamańska Wodza podszedł, obejrzał ze znawstwem ranę, szturchnął ją parę razy kijem, którym się podpierał, splunął na bok i szybciotko obkręcił się trzykrotnie wokół własnej osi przez lewe ramię. Cała reszta jego współplemieńców zrobiła to samo. Hrabia spojrzął na swoją nogę; była nabrzmiała, naokoło pojawiło się mnóstwo czerwonych i swędzących bąbli.

- Złe mięso, unga bunga ślizgopłaz zepsuć wszystko – wysyczał wódcz. – Wrzucić wsyćkich do szambiarki.

Szambiarka okazała się być niewielką klatką, tuż poza obozowiskiem, zrobioną z giętkich bambusów powiązanych ze sobą. Poobijani, głodni i zmęczeni więźniowie tłoczyli się jeden obok drugiego, nie mając nawet sił, aby wzywać ratunku, który i tak znikąd by nie nadszedł. Siedzieli skrępowani, zwiesiwszy głowy, pogrążeni każdy we własnych, ponurych myślach. Wakacje miały być wypoczynkiem, oderwaniem od codzienności, rozrywką, dumał zrezygnowany elf. Nie tak je sobie wyobrażał. Zaczynał powoli tęsknić za utyskiwaniem Maestra i kolumnami cyfr. Właściwie to lubił liczby; nie były niebezpieczne, nie szczyrzyły kłów i nie próbowały go pożreć.

- Pssst. – Sir Carasquillo wychylił się nieco i szepnął: - Udało mi się przeciąć więzy, te głupie stworzenia nie zabrały mi noża ukrytego w cholewie. Zaraz rozwiążę nas wszystkich, ale nie możemy im dać po sobie poznać, że jesteśmy wolni. Poczekamy, aż zasną i wtedy uciekniemy. – Cała reszta milcząco skinęła głowami, patrząc z nabożną wdzięcznością w orzechowe oczy wybawcy. Czekali.

Gdy księżyc stał wysoko na niebie, srebrną tarczą opromieniając dziką knieję, kilka ciemnych kształtów przemknęło ukradkiem w zarośla. Zanim wielkie ognisko zgasło, podróżnicy byli już daleko od gobliniej osady.

- Musimy gdzieś odpocząć, proszę – błagała lady l’Aguoille. Sir Carasquillo, który stał się przewodnikiem grupy, przytaknął, gestem kazał im pozostać w ukryciu, a sam wyruszył na poszukiwanie bezpiecznego schronienia. Siedzieli w milczeniu, nasłuchując nocnych odgłosów. Gdzieś nad nimi przeleciała sowa, jakiś śpiący ptak niespokojnie poruszył się w gałęziach. Żaby, zamieszkujące pobliski, zapewne po brzegi wypełniony piraniami staw, rechotały głośno, przekrzykując się z cykającymi świerszczami. Południowiec w końcu powrócił i poprowadził ich ku niewielkim wzgórzom.

- Znalazłem jaskinię, nada się na obóz.

Grota była przestronna, wilgotna i cuchnęła stęchlizną, lecz uradowała wszystkich, jakby właśnie otworzono przed nimi wrota królewskiego pałacu. Hrabia postanowił objąć pierwszą wartę i usiadł u jej wylotu. Po chwili dobiegło jego uszu miarowe pochrapywanie towarzyszy. Oparł się plecami o zimną skałę i zapatrzył w czerń nocy.

Obudził go przeraźliwy wrzask. Zerwał się na równe nogi i rozejrzał zdezorientowany wokół; dzień wstał już dawno, słońce prażyło niemiłosiernie, królując wysoko na nieboskłonie. Z jaskini w pośpiechu wybiegła lady l’Aguoille, trzymając wysoko uniesioną suknię, za nią mnknął elf, który prędko wyprzedził kobietę. Zaraz potem wypadł sir Carasquillo. Hrabia, niewiele myśląc i nie zadając głupich pytań rzucił się za nimi w panicznej ucieczce. Potężny ryk, dochodzący z głębi groty wstrząsnął ziemią pod ich stopami i zbliżał się nieubłaganie. Po chwili z ciemności wyleciała wielka, czarna wiwerna, machając nietoperzymi skrzydłami. Zagłębili się w las, lecz bestia nadal ich ścigała, pomimo ogromnych rozmiarów doskonale manewrowała pomiędzy sędziwymi drzewami. Na ich nieszczęście bór składał się ze starych, wysokich sekwoi, których pnie rosły z dala od siebie. Biegli jak szaleni, przeskakując powalone konary, gnając na złamanie karku. Suknia księżniczki

zaplątała się w gałęzie, gdy niewiasta próbowała pokonać przeszkodę i nieszczęsne dziewczę runęło jak długie. Elros, słysząc za sobą rumor odwrócił się i zaklął. Zawrócił, by pomóc lady l'Agouille, rozerwał więżący ją materiał, pomógł podnieść się z ziemi. Gdy już mieli ruszyć dalej z boku wychyłała wielka paszcza jaszczura, kłapiąc tuż przed nimi potężnymi szczękami. Ponownie padli na ziemię, cofając się pospiesznie. Wtem, jakby znikąd, sir Carasquille, pozbawiony przez gobliny pięknego rapiera, natarł na potwora, dzierżąc wielki, ciężki kij. Ździelił wywernę w łeb, skupiając na sobie uwagę gada. Maszkara wylądowała, stanęła na zadnich łapach i zamachnęła się na południowca uzbrojoną w pazury, połączoną skrzydłem z tułowiem, łapą. Ten zręcznie uskoczył i ponownie wymierzył celny cios, który sięgnął łuskowatej skóry.

- Zabierz ją stąd, elfie! – wrzasnął do Elrosa. Ten skinął głową i wyprowadził z pułapki przerażoną nie mniej od niego księżniczkę. Księgowy, gdy jeszcze odwrócił się, dostrzegł tylko, jak węzowy ogon potwora uderza dzielnego mężczyznę w plecy, zwalając go z nóg. Tryumfalny krzyk, który dobył się z przepastnego gardła bestii dodał Inglorionowi sił do dalszego biegu.

Las skończył się nagle, jakby bóg, tworzący tę wyspę, uciął go mieczem. Wypadli na piaszczystą plażę, zakończoną spokojnym, lazurowym morzem. Zatrzymali się w pół kroku, niepewni, czy wyjście na otwarty teren jest takim dobrym pomysłem; wszak ścigająca ich skrzydlata wiwerna miała podany obiad na tacy. Dopiero teraz, dysząc ciężko, uświadomili sobie, że od dłuższego czasu nie słyszeli odgłosów pogoni.

- Gdzie jest sir Carasquille? – wychrypiął hrabia, który nie miał pojęcia o stoczonych w borze nierównej walce. Elf spojrzął mu smutno w oczy i tylko pokręcił głową w odpowiedzi. Lady l'Agouille usiadła bezradnie na skraju kniei i rozplakała się jak mała dziewczynka.

- Czy on... sir Carasquille...

- Przykro mi panienko, obawiam się, że nie dane mu będzie nam towarzyszyć. On... on tam został. Na zawsze. – Elf nie potrafił spojrzeć jej w oczy.

- Tam, widzicie? – Elros wskazał dłonią na błyszczący kształt u wybrzeża. Przyłożył dłoń do czoła i zmrużył oczy. – Statek! Widzę statek! – krzyknął uradowany. Nowa siła wstąpiła w obolałych rozbitków, którzy biegiem rzucili się ku okrętowi, wrzeszcząc i wymachując rękami.

Gdy tylko usiedli w małej szalupie poczuli się bezpiecznie. Byli uratowani! Wytatułowani marynarze wiosłowali równo, raz za razem zanurzając i wyciągając pióra squarów z wody, rozchlapując morską pianę. Na pokładzie przywitał ich kapitan, wysoki jegomość o twardej, nieogolonej twarzy.

- Mielście dużo szczęścia, że akurat przybiliśmy do brzegu, na trójzab Dinendala. Wachtowy pokaże wam kajuty, odświeżcie się, odpocznijcie. Zobaczymy się wieczorem.

- Sir, mam jeszcze pewną, jak dla mnie nie cierpiącą zwłoki sprawę. – Hrabia odciągnął kapitana na bok. – Otóż, gdy przedzieraliśmy się przez dżunglę zostałem ukąszony w łydkę przez węża, obecna tu dama czytała, że jedynym gatunkiem występującym na tej wyspie jest śmiertelnie niebezpieczny miło foxburr.

- Co? Toż te gadziny wymarły przeszło sto lat temu! Pokaż pan tę nogę. – Hrabia podwinął nogawkę.

- Widzi pan, kapitanie te bąble wokół? – Nie wiedzieć czemu szyper wybuchnął gromkim śmiechem.

- Szanowny panie, zapewniam, że nie ma żadnego zagrożenia! Gdyby bydlę było jadowite, wówczas majaczyłbyś pan w gorączce od kilku godzin. To wokół – wskazał na pęcherze – to zwykłe ugryzienia komarów, zaręczam, że w najmniejszym razie nie są niebezpieczne.

Czysta woda, suty posiłek i sen były tym, czego potrzebowali. Otrzymali świeże odzienie i obietnicę powrotu do domu. Świat znów nabrał radosnych barw.

Zbudzono ich po zachodzie słońca. Pokład wyglądał zgoła inaczej, niż wtedy, gdy weszli na jego deski pierwszym razem; wszędzie na rejach świeciły kolorowe lampiony, na rufie grał kwartet smyczkowy, po deku spacerowało mrowie elegancko ubranych dżentelmenów i strojnych dam. Gdy tylko pojawili się wśród innych gości, rozległy się gromkie brama. Oszołomieni rozgladali się dookoła, nie mogąc pojąć, co tu się właściwie wyprawia. I wtedy dostrzegli smukłą, drobną sylwetkę Nessy Ciryatan. Elfka podeszła do nich z uśmiechem na ustach, za nią sunął dystyngowany lokaj, niosący na tacy trzy kieliszki wypełnione szampanem.

- Witam państwa na pokładzie Odzyskanej Nadziei! Gratuluję zdania testu obozowicza i życzę miłej zabawy. – Uścisnęła dłoń każdemu z nich, nic nie robiąc sobie ze zdziwienia, malującego się na twarzach dezorientowanych ludzi i elfa. Żadne nie mogło wykrztusić ani słowa, gdy już mieli zakrzyczeć gospodynię pretensjami, ponownie rozległy się brawa, odśpiewano im sto lat, a potem rozległy się powszechne owacje. Wciągnięci w wir innych gości nawet nie zauważyli, kiedy elfka zniknęła w tłumie.

- I jak wam się podobało w wiosce goblinów? – Starszy mężczyzna o ogorzałej twarzy uśmiechał się do nich szczerze, wzbudzając sympatię od pierwszej chwili.

- Gdzie moje maniery, jestem Władimir Drikstojew.

- To jakiś żart? – Elros był całkowicie zbity z tropu.

- Ha, przyjacielu, też o to zapytałem, gdy znalazłem się wreszcie na tej przeklętej łajbie!

- Ale powiedziano nam, że biuro podróży, w którym mieliśmy wykupioną wycieczkę upadło – księżniczka ciągnęła podjęty przez elfa wątek.

- Jak wszystkim, moja pani!

- Sir Carasquille... Ale jego zabiła wiwerna!

- Ha, stary Negrete ma się dobrze, zapewniam was! To bodaj najlepszy treser bestii, jakiego nosiła na swoim garbatym grzbiecie mateczka ziemia!

- Więc to wszystko było... udawane?

- Dokładnie! Niedługo zobaczycie też Wielką Szamańską Wodzę.

- Ale gobliny jedzą ludzi!

- Nic podobnego. Stara wodza najbardziej lubi jajka i kozie mleko, ciężko staruszce je się rzeczy, które wymagają gryzienia.

Elrosowi aż zakręciło się w głowie... Wynajęta gobliniska wioska... Tresowana wiwerna. Obiecany doświadczony przewodnik ukryty pod postacią jednego z pasażerów. Ulotka nie kłamała: w jego pamięci na zawsze pozostaną niezapomniane wrażenia!

OPOWIEŚCI ZE
ŚWIATÓW
POMIĘDZY

Uwięzienie Fenrira

Odyn schylił się pod poskręcany korzeniami Yggdrasila, przechodząc na znaną sobie ścieżkę. Kosmiczne drzewo skryło go pod sobą, otulając boską postać półmrokiem. Jednooki pan Asów szedł spieszonym krokiem, mars na jego czole zdradzał jakowąś troskę. Srebrne źródło o zimnej, jasnej wodzie było coraz bliżej, słyszał już jego szept. Miał nadzieję, że Mimir zechce dzisiaj rozwiązać targające nim wątpliwości, że wskaże rozwiązanie dławiącego problemu.

Odrzucił w tył połę błękitnego płaszcza i przebył kolejny fragment drewnianego labiryntu.

Oczy Thursa były zamknięte, jakby pograżył się w drzemce. Woda obmywała szyję Mimira, nucąc mu do ucha asgardzkie kołysanki. Siwowłosy starzec przystanął na brzegu wartkiego strumienia, odchrząknął i ozwał się:

- Mimirze, Opiekunie Mądrości, zbudź się! - Głos Odyna przebrzmiał, rozbijając się o korzenie Drzewa i niknąc w spienionej toni. Olbrzym westchnął, poruszył się, jakby chcąc zatrzymać krople ożywczych, sennych marzeń, i podniósł powieki. Mrugnął kilkakrotnie i skupił wzrok na twarzy Sig-tyra.

- Czego znowu ode mnie chcesz, szalony synu Burra?

- Rady, przyjacielu. Poznania tajemniczego, zobaczenia niewidzialnego.

Podziel się ze mną swoją mądrością, Nauczycielu. - Pan Srebrnego Pałacu

skłonił się nisko, oczekując na odpowiedź.

- Cóż trapi cię tym razem, Asie zrodzony z Bestii? - Odin wyprostował się i spojrzał prosto w szare tęczę olbrzyma.

- Bękart tego, z którym pomieszałem krew.

- Mówisz z taką pogardą, jakbyś sam nigdy nie zbrzuchacił żadnej dziewczki – zaśmiał się Mimir. Szczęki władcy Asgardu zadrżały, gdy przełykał kolejną zaprawianą dziegciem potwarz.

- Z łona tych, które posiadałem nigdy nie wypełzła poczwara! - warknął. Gromki śmiech zanurzonego w wodzie Opiekuna Mądrości zagrzemiał, wprawiając w drżenie Wiecznie Zielony Jesion.

- Co racja, to racja. Nie perz się tak, kiedy brak po temu przyczyny. Mówię, jak jest. I dobrze o tym wiesz. - Bóg, chcąc osiągnąć zamierzony cel, zmuszony został do odłożenia dumy na bok. Wszak kto słyszy tę wymianę zdań? Nikt, świadkiem jest tylko szemrzący potok.

- Odpowiesz mi tedy? - spytał, cedząc słowa przez zaciśnięte zęby.

- Pytaj, Asie.

- Opowiedz mi o wilku, o straszliwym Pustoszytelu, który ziewając, łączy szczękami ziemię i niebo, mów o Mieszkańcu Bagien, splodzonym przez Lokiego z Angbrodą w Jotunheimie. Półmartwa Hel, jego córka, zstąpiła pod Nilfheim, by tam rządzić tymi, którzy przepłynęli Gid, Jormunganda wrzuciłem w morze, a ten rozrósł się, by połknąć własny ogon. Nie wiem cóż mam począć z Fenrisem, najstarszym z tego pokracznego miotu. Zabić go nie mogę, nie godzi się pruć tkanin splecionych przez Norny, w których wzorach wyszyły los nas wszystkich... W Asgardzie również nie chcę go trzymać, to okrutna i krwiożercza potwora! Nikt nie może nad nim zapanować, nikogo nie słucha... Tylko Tyr zbliża się do niego, by rzucić mu jakiś ochłap.- Wszechojciec ścisnął dłonie w pięści i wbił twarde spojrzenie w Głowę Mimira. Widzący przeszłość, przyszłość i terażniejszość zasepił się i spoważniał.

- Masz rację, zabić go nie możesz. Wówczas sprowadziłbyś nieszczęście na cały Asgard... - Źrenice uciekły mu w głąb czaszki, ukazując białka. Powieki drgały, oddech przyspieszył, woda wokół głowy spieniła się. - Wszystko, co jest nam zapisane, musi się wypełnić w odpowiednim czasie – kontynuował. - Nie wcześniej, nie później, tylko właśnie wtedy, kiedy jest przeznaczone. Fenrir musi żyć. Widzę go... Widzę, jak miota się w łańcuchach, próbując przerwać

wieży. Czerwone niebo rozpościera się nad Asgardem, zwiastując Ostatnią Bitwę... Wyrzywa się... Wilk jest twoją śmiercią, Odynie. - Spojrzał na pobladłą twarz gospodarza Walhalli i zamilkł.

- Dziękuję ci, przyjacielu... Rzuciłeś nieco światła na mrok mego strapienia – wychrypiał starzec i czym prędzej zawrócił.

Ośmionogi Sleipnir pędził z rozwianą grzywą, niosąc swego pana wprost do Sokkwabekk Pałacu O Srebrnych Ścianach. Gdy tylko jego kopyta uderzyły o brukowany dziedziniec, na powitanie wybiegły dwa szare wilki. Geri i Freki radośnie obskakiwali idącego szybko mężczyznę. Wilczury nie zważały ani na pulsujące wściekłością skronie, ani na pobielające od zaciskania pięści kłykcie tego, którego były obrońcami. Płasały, zadowolone, że wrócił. W progu powitał Odyna Thor, rozkładając ramiona i uśmiechając się szeroko.

- Ojczy!

- Nie teraz! - odburknął Sig-tyr i minął miedzianobrodego woja. Jego kroki zadudniły echem w kamiennym korytarzu, oddalając się, umilkły, po czym znów stały się bardziej słyszalne. Thor stał wyprostowany, za plecami mając wysoko stojące słońce, gonione po nieboskłonie przez żarłocznego i nieustępliwego Skolla. Złote promienie oświetliły powracającego spieszenie Odyna. Zatrzymał się przed synem, wskazał na niego krogulczym palcem i powiedział:

- Zwołaj mi wszystkich Asów. Wszystkich! - podkreślił. Pan Bilskirniru skłonił się sztywno i odszedł, by zadość uczynić życzeniu władcy Asgardu.

- Radźcie tedy, cóż należy nam czynić? - zagrzmiął Odyn, wyłuszczywszy zebrany problem i treść przepowiedni. Asowie spojrzeli po sobie, przy stole zaszumiało od szeptów, jednak nikt nie odpowiedział wprost. Dopiero Thor, rozejrzawszy się wokół, wstał i rzekł:

- Nie jestem przekonany, czy Fenrisa naprawdę nie można zabić. Mogę to

sprawdzić, złożcie sprawę w moje dłonie, a łeb wilka spadnie z jego plugawego karku szybciej, niż kruki, Huginn i Muninn zdążą oblecieć Asgard.

- Głupcze! - krzyknął pan Asów, uderzając wściekle pięścią w stół. Wzdłuż blatu przebiegło z jękiem pęknięcie, kielichy zadrżały, roniąc purpurowe krople wina.

- Chcesz sprowadzić zgubę na nas wszystkich?! - kontynuował. - Nie waż się podnieść ręki na żadną istotę, w której żyłach płynie nasza krew! Nawet tak parszywą, inaczej pogrążysz cały świat w mroku, popiele i posoce! - Niecierpliwy bóg spuścił wzrok i przygryzł wargę. Po chwili podniósł dumnie głowę i zaproponował:

- Skoro nie wolno mi położyć trupem bestii, tedy zwiążmy ją łańcuchem, którego nie zerwie i trzymajmy na uwięzi dopóty, dopóki nie nastanie czas, gdy wszystkie okowy spróchnieją. - Pomruki aprobaty grały we wszystkich gardłach, tworząc zgodny chór. Wszechojciec w zamyśleniu potarł palcami pobrużdżone zmarszczkami czoło.

- Niechaj tak będzie, tylko kto tego dokona?

- Ja. - Milczący dotąd Tyr wyprostował się i wsparł dłoń na rękojeści przypasanego miecza. - Mnie wilk ufa najbardziej, to ja codziennie przynoszę mu strawę. Przysięgam wam, że nie spocznę, póki piekielny basior nie legnie spętany - zapewnił i dla zwiększenia wagi złożonej obietnicy grzmotnął się prawicą w szeroką pierś.

- Niech się stanie, jak mówisz, mężny i nieustraszony Tyrze.

- Wykuję łańcuch, który zatrzyma basiora – rzekł Wayland, z trudem wstając z zajmowanego miejsca. - Jeszcze dziś biała stal zadźwięczy pod uderzeniami mojego młota. Wykuję łańcuch gruby i solidny, abyśmy nie musieli lękać się czyhającego potwora! - Siedząca tuż koło niego Freya aż zaklaskała z radości, furkocząc sokolimi piórami, z których spleciony był jej płaszcz.

- To dopiero będzie widowisko! - pisnęła radośnie, sprowadzając na siebie gniewne spojrzenie swego bliźniaczego brata – Frey'a.

- Za trzy dni spotkamy się u stóp wieży Hlidskjalf i zobaczymy, na co zda się nasz plan – zawyrokował Odyn, kończąc tym samym wiec. Wayland, kuśtykając, powrócił do swojej siedziby i zamyślił się głęboko. Z czego wykuć łańcuch, który zdoła zatrzymać piekielną bestię? Jakiej stali użyć? Jakie runy powinny w nim zaśnić? Nie! Run nie wolno wkuć, bowiem Fenris może zwietrzyć podstęp i cały plan legnie w gruzach... Rozłożył narzędzia, rozpalił w piecu i, nałożywszy gruby fartuch, jął rozdmuchiwać żar. Pracował bez wytchnienia, dwukrotnie Skoll i Hati zdążyli przebiec po niebie, zanim stal uderzana młotem wydała ostatni jęk. Wayland zważył w dłoniach gruby jak jego przedramię łańcuch.

- Słuchaj mnie, metalu, z którego wykułem te pęta, słuchajcie mnie, nierozzerwalne ogniwa! Nadaję wam imię, Leading, i rozkazuję uwięzić wilka aż po koniec czasów! - Jego słowa dźwięczały chwilę w srebrzystych okach, po czym rozplynęły się w falującym gorącym powietrzu.

Odyn siedział na swym tronie na Hlidskjalf i obserwował uważnie wszystkie dziewięć królestw. Jego ptasi szpiedzy, Huginn i Muninn, wyruszyli w swoją codzienną trasę i zniknęli właśnie za widnokretem, jeden na wschodzie, drugi na północy. Pan Asów podrapał się w zamyśleniu po długiej, siwej brodzie, oparł rękę o kolano i, zapatrzywszy się w dal, błagał w duchu Norny, by wspomogły jego zamierzenia.

Z zadumy wyrwał go spokojny głos szybkonogiego Hermoda:

- Wszyscy już są i czekają na ciebie. - Skłonił się nisko.

- To świetnie... Czy kowal przyniósł kajdany?

- Tak. Prezentują się doprawdy imponująco. - Odyn dopiero teraz przeniósł spojrzenie na Posłańca. Wstał powoli, rozprostowując kości i zszedł z wieży.

- A gdzie to piekielne psisko? - zapytał, nie widząc nigdzie Fenrisa.

- Powinien niebawem przybyć, wraz z Tyrem – odpowiedział Frey. Jego

słowom po chwili stało się zadość, bowiem na horyzoncie pojawił się wielki, włochaty kształt. Wilk zbliżał się; dopiero, gdy zatrzymał się przed zgromadzonymi bogami poczuli oni prawdziwą grozę bijącą od bękarta Lokiego. Wielki łeb zwiesił się nad nimi, popatrując z góry żółtymi ślepiami.

- Tyrze, cóż to miał być za turniej, zdradź mi, wszak jesteśmy na miejscu, obiecałeś! - szczechnął w stronę idącego za nim wojownika. Z wyjaśnieniem pospieszył Odin, który, odchrząknawszy, rzekł:

- Dzielny Fenrisie, Tyr opowiadał nam na walhalijskiej uczcie, iż jesteś najsilniejszym i najpotężniejszym ze stworzeń zamieszkujących Asgard... Twój opiekun zarzekał się, żeś jest bardziej mocarny nawet od mego syna, Thora! - Słyszając te słowa wilk prychnął, wydymając pogardliwie wargi.

- Oczywiście, że tak jest. Wątpisz? - Usiadł, by podrapać się tylną łapą za uchem. Wstał, otrzepał się, rozpryskując na wszystkich wielkie krople lepkiej, cuchnącej śliny i młasnął:

- Możemy się sprawdzić, abyście nie mieli już żadnych wątpliwości. – Wyszczrzył w psim uśmiechu zębiska. Odyn pogratulował sobie w duchu sprytu; dokładnie tego chciał... Jego twarz przybrała jednak strapiony wygląd. - Cóż, Fenrisie, tak się zastanawialiśmy, jaka konkurencja mogłaby najlepiej ukazać nam twoją potęgę i okryć cię sławą... - Fenris nastawił uszu. - I uradziliśmy, że najefektowniejszy będzie spektakl, w którym rozerwiesz łańcuch.

- Pfff. Pokażcie mi to. - fuknął. Wayland przekazał Odynowi masywne okowy.

- Wykułem go specjalnie na tę okazję i nazwałem Leadingiem. - Wycofał się, wracając do przyglądających się w milczeniu Asów. Wilczur podszedł parę kroków i wyciągnął pysk, by dokładniej przyjrzeć się trzymanemu przez boga przedmiotowi.

- Wygląda na solidny – mruknął, obwąchując metal.

- Czyżbyś się jednak obawiał?

- Ja?! Skądże! Ja nie boję się niczego! Zwiążcie mnie, proszę bardzo, a pokażę wam, do czego jestem zdolny! - Usiadł sztywno, dumnie podnosząc łeb. Tyr wziął Laedinga i oplótł nim siwe cielsko. Wilk naprężył wszystkie mięśnie. Więzy zatrzeszczały i, ku przerażeniu i zdziwieniu wszystkich, na ziemię posypały się pozrywane ogniwa.

- Phi, słaby ten wasz Leading. Nawet się nie zmęczyłem – ziewnęła bestia. - Nudne to, gdy będziecie mieli coś naprawdę zajmującego, wtedy zwracajcie mi głowę. - Odbiegł w stronę swojego leża, hardo podnosząc kitę. Potok przekleństw wylał się z wykrzywionych wściekłością ust Odyna, gdy syn Lokiego zniknął w oddali.

- Mówiłeś, że wykujesz kajdany, które utrzymają go aż do samego Ragnaroku! - wrzasnął. Wayland, nie dowierzający własnym oczom, strapił się srodze.

- Tak powiedziałem i słowa dotrzymam. Myślę, że słabością łańcucha okazały się być zbyt kruche sploty. Z mojej kuźni otrzymasz pęta trwalsze, o większej sile. Jeśli pozwolisz, panie, udam się od razu do swych posiadłości, by jak najszybciej móc zdjąć troskę z twych barków. - Pozostał w ukłonie, dopóki rozjuszony Odin go nie odprawił.

Powróciwszy do swej pracowni, Wayland opadł niemal bez sił na krzesło i skrył twarz w dłoniach. Wziął kilka głębokich oddechów i zapytał sam siebie:

- Jak to się mogło stać? Jak mogłem ponieść tak sromotną klęskę? A może Fenris naprawdę jest tak wielkim siłaczem? - Wstał i ponownie rozdmuchał ogień.

- Fenrisie, mocarzu, mam dla ciebie nowe wyzwanie, aby urozmaicić ci pobyt w Asgardzie. - Odyn uśmiechnął się szeroko i ukazał mu na wyciągniętych rękach potężniejszy niż ostatnio, stalowy splot.

- A cóż to? - Wilk wstał, przeciągnął się i poruszył nosem, węsząc.

- To jest Dromi, łańcuch wykuty dłońmi zawstydzonego przez ciebie Waylanda. - Kowal uznał, że był zbyt niezgrabny i przez to pękł.

- Dziwne... Przecież ten niewiele się różni... Może i jest grubszy, ale i ja urosłem od czasu ostatniej próby.

- Udowodnij nam to!

- Toż to fraszka! - Zamerdał ogonem. - Pokażę wam! - Odyn osobiście założył okowy na pysk, łapy i tułów wielkiego bydłęcia. Oczy wszystkich Asów wpatrywały się w wilczura z nadzieją, że nie podola. Fenris szarpnął raz i drugi i po chwili o trawę uderzyły rozszarpane oka.

- Mówiłem, że Dromi nie ma ze mną szans, ha! Wasze łańcuchy są dla mnie niczym, nigdy nie wykujecie takiego, który zdolny byłby mnie zatrzymać! - krzyczał, podskakując wkoło. - A teraz idźcie już, chcę odpocząć po posiłku! - Oblizwał pysk różowym jęzorem i spojrzał się z zadowoleniem na swój cień, powiększający się każdego dnia.

Złoty puchar uderzył z brzękiem o ścianę, wgniótł się i upadł na podłogę, wylewając z siebie resztki wina. Odyn ponownie przemierzył komnatę szybkim, pełnym złości krokiem. Powietrze aż iskrzyło, rozedrgane emocjami. Nikt z obecnych nie odważył się odezwać słowem.

- Co tak stoicie?! Mówcie coś! Cóż wypada nam czynić teraz, gdy nasz boski kowal ponownie poniósł klęskę?! - Wayland spuścił wzrok i spłonął rumieńcem wstydu i porażki.

- Skoro Waylandowi się nie powiodło, to nikt w całym Asgardzie nie jest w stanie podolać. - Frey wyszedł nieco przed szereg i podniósł pogruchotany kielich. Przyjrzał mu się bardzo dokładnie, przeglądając się w klejnotach. Wielowiedzący przeniósł powoli spojrzenie na oblicze rozsierdzonego Sig-tyra.

- Mało tego – kontynuował. - Ludzie z Midgardu ani olbrzymy Jatunheimu też pewnie niewiele dokażą.

- Do czego zmierzasz? - Odin zmrużył swe jedyne, błyszczące gniewem oko.

- Jest za dalekim Nilfheim ziemia zwana Svartalheimem. - Wietrzny bóg powrócił do oglądania drogocennego naczynia. - Jest to kraina ciemnych elfów. W postrzępionych, czarnych szczytach tamtejszych gór żyją ponoć najbieglejsze w kowalskim rzemiośle istoty. Krzaty, które od wieków nie oglądały słońca, na pewno je znasz... - Frey ponownie skupił uwagę na władcy Asów.

- Taaak... - Zamyślił się Sig-tyr – Przypominam sobie skarłowaciałe olbrzymy o chciwych oczkach, dużych, obwisłych nochalach i zgrabiających dłoniach... Wyrosły z larw pożerających truchło syna buchającego ogniem Muspell i błyszczącego wówczas lodem Nilfheim, jeśli mnie pamięć nie myli. Twoja siostra mocno nalegała, by ukryć je pod ziemią.

- Owszem, żądałam tego, bowiem nie mogłam patrzeć na ich obrzydliwe oblicza. - Śliczna Freya wyduła buńczucznie wargi, ciasniej otulając się pierzastym szalem.

- Za twoim pozwoleniem, wyślę tam mojego posłańca, Skirnira. - wtrącił jej bliźniaczy brat.

- Uczyń tak.

Skirnir pędził tęczowym mostem na grzbiecie Blodughofiego, dawno zostawili już za sobą posępną postać Heimdała, strażnika Asgardu. Przemknął przez Midgard, przebył mgły Nilfheim, aż w końcu kopyta jego wierzchowca uderzyły o krainę Svart Alfarów. Posłaniec Frey'a sam był elfem, jednak pochodził ze świetlistego Alfheimu, toteż nieswojo poczuł się w krainie mrocznej i, zdawałoby się, wymarłej. W oddali majaczyły ostre szczyty Nidavellir, gdzie mieszkaly podłe kreatury, zrodzone z czerwi toczących martwe ciało Ymira.

Wędrówka dawno nie uczęszczanym szlakiem była niemożliwa dla konia, więc

ten ostatni odcinek lśniący wewnętrznym blaskiem Alf musiał przebyć na własnych nogach. Dotarłszy do ziejących czernią jaskiń tchnących stęchłym odorem, rozejrzał się w poszukiwaniu jakiegokolwiek ze swych cienistych pobratymców. Gdzieś na granicy widoczności, kątem oka, dostrzegł ruch, lecz gdy tylko odwracał się w tamtą stronę, nie widział już nic. Drobne kamyczki osuwały się ze zbocza, rozdzierając ciszę nagłym stukotem. Brudne niebo wisiało tuż nad złotą głową Skirnira, wicher, wyjąc pomiędzy ostrymi szczytami, popędzał szparko skłębione chmury, przecinane z rzadka przytłumionym światłem błyskawic. Niskie pomruki budzącej się burzy zbliżały się coraz bardziej, po chwili na wyschnięty, bury piach, spadły pierwsze, grube krople zimnego deszczu. Wiatr wzmógł się, wydymając płaszcz posłańca i targając jego jasną czupryną. Skirnir zmrużył oczy i parł niestrudzenie naprzód, gnany zarówno obowiązkiem, jak i strachem przed wciąż rosnącym wilkiem biegającym po łąkach Asgardu. Zdawał sobie sprawę, że jeśli jego misja zakończy się fiaskiem, wówczas nikt i nic nie uratuje świata przed szalejącym monstrem, coraz bardziej łakomym i nieokiełznanym.

- Czego chcesz, świetlisty? - Skrzekliwy głos zabrzmiał tuż za nim, wkomponowując się w ostatnie nuty cichnącego grzmotu. Posłaniec Frey'a odwrócił się powoli i spojrzał w pomarszczoną twarz karła. Małe, świdrujące oczka bezczelnie go taksowały, złośliwy uśmiezek błędził po ukrytych pod oklapłym nosiskiem, wąskich wargach.

- Przybyłem na życzenie Asów zamieszkujących Asgard do najznamienitszych kowali Dziewięciu Królestw, synów Ivaldiego, Dvalina, Brokkiego i Sindriego.

- No toś dotarł. - Próżność ciemnego elfa została mile połączona, więc zerknął na przybysza nieco przychylniej, nie przestając jednak szacować wartości i rachować kosztowności wszytych w jego odzienie.

- Czegóż to życzą sobie od nas Asowie? - spytał po chwili.

- Pan Asgardu potrzebuje wykuć łańcuch tak mocny, by nawet Thor nie mógł go rozerwać.

- Trudne to zadanie. - Dvalin podrapał się po szczecinie porastającej gdzieś jego chropowatą brodę. - Ale nie niemożliwe... Oczywiście za drobną opłatą. - Zatarł dłonie i wyszczerzył poźółkłe zęby.

- Przecież hańbą byłoby przybyć do was, mistrzowie stali, bez godnego podarku. - Skłonił się nisko jasny elf, po czym podał karłowi pękata sakwę. Chciwa kreatura czym prędzej rozplątała rzemień i zajrzała do środka. Żądza i podziw w oczach Svar Alfara upewniły Skirnira w przeświadczeniu o niskości tej rasy. Zapłata została przyjęta krótkim skinieniem głową. Zawiązawszy kabzę, kowal kiwnął na nieoczekiwanego gościa i poprowadził go krętym korytarzem w miejsce, z którego wyrastają góry.

- Zaczekaj tu, świetlisty. Czekaj i nie niecierpliw się. Przyjdę, gdy twój łańcuch będzie gotów. - Karzeł rozmył się w panującym wokół mroku. Skirnir został sam w plątaninie tuneli, gdzieś na rozdrożu. Tylko jego własne, nikłe światło rozpraszało lepkie ciemności. Elf miał wrażenie, że cień chwyta go za szyję wydłużającymi się palcami i dusi, dławiąc wszystkie zmysły. Czas jakby nie dotyczył tego miejsca; ni powiew wiatru, ni żaden odgłos nie zmąciły spokoju martwych sztolni. Alfheimczyk czekał, nerwowo rozglądając się wokół, próbując przebić wzrokiem czarną kotarę skrywającą wszystkie drogi. By dodać sobie otuchy wsparł dłoń na głównej miecza, który onegdaj podarował mu Frey. A co, jeśli on nie wróci, jeżeli dałem się oszukać? – pomyślał z przerażeniem. Nie miał pojęcia, jak wydostać się z tego labiryntu. Zaczęła ogarniać go klaustrofobiczna panika... Mijały minuty, a może godziny... Skirnir nie miał pojęcia, ile razy Hrimfaksi, koń ciągnący rydwan nocy, przemierzył swój szlak, strzepując ze spienionego pyska rosę na uszpioną ziemię. W końcu jednak, gdy posłaniec zwątpił już we wszystko, Dvalin powrócił, niosąc w dłoniach cienką, jedwabną wstęgę.

- Proszę, świetlisty. Oto łańcuch, który powstrzyma najtęższych i najbardziej krzepkich. - Skirnir zamrugął z niedowierzaniem.

- Ta linka?!

- Nie wątp, słoneczny Alfie, w kowalskie zdolności potomków Ivaldiego! Zaklęliśmy w tym srebrnym sznurze tupot stóp kota, spleliśmy z brody kobiety, ścięgną niedźwiedzia i korzeni skał, zwilżyliśmy śliną ptaka, a potem osuszyliśmy oddechem ryby. Tak powstał Gleipnir, okowy, których nikt nie zdoła przerwać! - Jasny elf wziął sceptycznie Gleipnira; więzy były lekkie i miękkie.

Odyn siedział na tronie zapatrzonego w płomień Muspell. Na jego ramieniu przycupnął zdrożony Muninn, poprawił twardym dziobem puch pod skrzydłem i wrzasnął:

- Skirrrrrnirrrr wrrraca, Skirrrnirrrr wrrraca, Skirrrnirrrr wrrraca! Kra! Kra! Wrrrraca posłaniec Frrreya! Kra! Kra! Wrrraca! Wrraca! - Odyn spojrzał w paciorkowate oczy ptaka i pogładził po gładkich, lśniących granatem piórach.

- Chociaż ty przynosisz mi dobre wieści. - Uśmiechnął się.

- Fenrisie, co powiesz na małe polowanie? Słyszałem, że Middgard obfituje ostatnio w dorodne jelenie o precudnym porożu i szczupłych pęcinach. - Tyr, idący na czele Asów, uśmiechnął się.

- Za nic się stąd nie ruszę, Tyrze! Myślisz, że jestem głupcem? Póki jestem w Asgardzie, póty nic mi się nie może stać. Ja wiem, że Odynowi jestem nie w smak i nie zamierzam narażać się bez konieczności. Poza tym, tu mi się podoba. - Przeciągnął się leniwie, ziewając. Dagur, siedzący na koźle swego podniebnego wozu, zaprzęzonego w Lśniącogrzywego Skinfaxiego, był dopiero w połowie drogi, toteż słońce stało wysoko, grzejąc siwe futro wielkiej bestii. - To może wybierzemy się nad Amsvarlnir? Tam ponoć również można zdybać niezgorszego zwierza. - Ull pogładził napiętą cięciwę łuku.

- Hmmm – zamyślił się wilk. - Niech będzie, przyda mi się trochę ruchu. - Bogowie odetchnęli z ulgą i wszyscy ruszyli w stronę chłodnego jeziora.

- Gdzie ten twój zwierz, Tyrze?

- Fenrisie, mówiłem o middgardzkich, długonogich jeleniach, jednak ty nie chciałeś przekraczać wielobarwnego Bisfortu. Nie moja wina, że nad Amsvarlnir nic żeśmy nie wytropili.

- A może zrezygnujemy z łowów, skoro i tak nie są zbyt udane, i napijemy się słodkiego miodu, co ty na to, Fenrisie? - zaproponował Odyn.

- Czemu nie... Myślę, że na tamtej wyspie uda mi się złapać jeszcze trochę złotych włosów słońca – szczechnął rozradowany i wskoczył w przejrzystą toń.

Skąły, nagrzane przez cały dzień, teraz ochoczo oddawały zgromadzone ciepło. Mani powoli wychylał swą pełną, srebrną twarz znad wzgórz, rozświetlając ciemniejące niebo. Bogowie śmiali się, żartowali, popijali wino i miód, rozprawiając z wielkim wilkiem o różnościach.

- Wiesz, Fenrisie – zaczął pan Asów. - Zadziwiła mnie twa niepospolita siła. Jeszcze nigdy nie widziałem, aby ktokolwiek z taką łatwością zrywał więzy na miarę Leadinga i Dromiego. - Basior wypiął dumnie pierś i wywalił z zadowoleniem jęzor.

- Po prostu nawet Thor musi przyznać, że nie dorównuje mi w zapasach. - Podrapał się za spiczastym uchem.

- W zasadzie moglibyśmy się spróbować... - Thor upił łyk. Odin sięgnął do sakwy i wyjął z niej Gleipnira.

- Więc zerwij, synu ten sznur. Zobaczymy, czy ci się uda ta sztuka. - Rudobrody bóg odstawił kielich i wziął z rąk ojca niby-jedwabną wstęgę.

Wstał, naprężył mięśnie, stęknął, szarpnął ze wszystkich sił, lecz Gleipnir nie chciał ustąpić. Zdziwiony władca gromu uniósł brew i spróbował ponownie, z równie mizernym rezultatem. Wilk przyglądał się przedstawieniu z

zainteresowaniem. Podszedł w końcu, by obwąchać łańcuch.

- Teraz ty spróbuj, dla ciebie to powinna być łatwizna!

- Nie podoba mi się to. Wietrzę w tych więzach magię i podły podstęp. - Zarzucił łbem. - Poza tym, nie poskromiliście mnie Leadingiem, porwałem w strzepy Dromiego, jakież zaszczyt czekałby mnie po uwolnieniu się z tego wiotkiego rzemyka?

- Tchórz cię obleciał, przyznaj się! - zakpił Thor.

- Tchórz?! Ja nie wiem, czym jest lęk! - warknął. - Dobrze, pozwolę wam się związać, ale jeden z was, jako gwarancję, że nie ma w tym fałszu, włoży prawicę do mojej paszczy. - Szmer przebiegł po zebranych i rozwiął się w nastęlej po chwili grobowej ciszy.

- Czyżbym miał rację, iż próbujecie mnie oszukać?! - fuknął na Asów.

- Skąd taka myśl, Fenrisie? - spytał Tyr, podchodząc do leżącego na ziemi Gleipnira. Podniósł go i podał Thorowi. - Zwiąż wilka, ja ręczę za szczerść tego konkursu – powiedział, patrząc prosto w oczy pobladłego boga. Ten chwycił sznur i zaczął oplątywać nim wilcze cielsko, gdy tylko dłoń Tyra spoczęła pomiędzy zębiskami bestii.

- Gotowe! Pokaż nam swą siłę, niezwyciężony! - Wilczurowi niepotrzebna była ta zachęta. Napiął barki, czekając, aż więzy opadną. Mierzył się z nimi dłuższą chwilę, lecz Gleipnir, zamiast rozszerzać się i pękać, zaciskał się wokół jego ciała tym ciaśniej, im mocniej wilk się szarpał.

- Zdrada! Zdrada! Gleipnir jest zaklęty magią! Podstępni, źli Asowie! - wrzasnął i zawarł potężne szczęki na ręce Tyra, odgryzając mu przedramię. Bóg krzyknął, widząc krwawy kikut, i odskoczył od miotającego się potwora. Tymczasem pozostali złapali za końcówki sznura i przymocowali go do skał. Wilk piszczał, skamlał, wył i złorzeczył.

- Będiesz tu tkwił aż po Ragnarok, bękarcie Lokiego! - zawyrokował Odyn, zarzucił połę niebieskiego płaszcza i odszedł. Thor, mając już dosyć wrzasków podnoszonych przez uwięzionego zwierza, chwycił swój miecz i

wsadził go w rozdziawioną paszczę, rękojeść opierając na języku, a ostrze wbijając w podniebienie. Poklepał Tyra, odtąd nazywanego Odważnym, po ramieniu i ruszyli za Odinem ku bramom Walhalli, by tam świętować zwycięstwo przy stole Frei.

Podrugiejstronie

Dyndam na sznurze przywiązany do belki podtrzymującej strop. Obracam się powoli to w jedną, to drugą stronę. Lina skrzypi upiornie przy każdym poruszeniu martwego ciała. Wytrzeszczone oczy zachodzą mgłą, twarz coraz bardziej sinieje, język puchnie w ustach, aż w końcu wypęła na wierzch. Nogi przestają drgać. Nastaje cisza. Moich dwóch oprawców przygląda się przedstawieniu cierpliwie, bez lęku, bez obrzydzenia. Są absolutnie wyprani z jakichkolwiek emocji. Po prostu stoją tam i obserwują jak huśtam się na swojej huśtawce, kołysany przez śmierć. Po chwili wytracam pęd, zatrzymuję się parę centymetrów nad ziemią. Jeden z nich spogląda na zegarek, potrząsa ręką, na której świeci okrągła tarczka, przykładając ją do ucha, próbując wychwycić najłżejsze choćby tykanie. Zegar stanął. Odpina z przegubu czarny, skórzany pasek, patrzy jeszcze raz na nieruchome wskazówki, po czym rzuca życiomierz pod moje buty. Bardzo wyraźnie, nieco w zwolnionym tempie, widzę, jak dwukrotnie odbija się od drewnianej, pokrytej grubą warstwą kurzu podłogi, po czym ląduje tarczą do góry tuż przede mną. Schylam się, by go podnieść, kto wie, być może nakręcić na nowo, jednak moje mgliste palce nie są w stanie pochwycić przedmiotu. Klnę szpetnie pod nosem, lecz z moich ust zamiast dźwięku wydobywa się tylko para. Na potrzaskanej szybie pojawiają się kwiaty malowane mrozem. Drugi, ten niższy, odpala papierosa. Migotliwy płomień zapalniczki pojawia się na krótką chwilę, mężczyzna zaciąga się głęboko gryzącym dymem, po czym wypuszcza siwy kłęb kącikiem ust.

- Wygląda na to, że sobie poszedł – mówi, podążając wzrokiem za szarą, powoli rozplywającą się smugą.

- Zatem na nas też już pora. Nie możemy pozwolić czekać następnemu klientowi – odpowiada tamten, wyjmując z teczki srebrny zegarek i zapinając go na rękę. Ich kroki nie pozostawiają w kurzu najmniejszego śladu, nie dudnią na drewnianych schodach. Zostaję sam na sam z własnym trupem. Wzdycham

ciężko i rozglądam się wokół. Po raz pierwszy nie wiem, co mam ze sobą zrobić. Nadal tu jestem. Pomieszczenie trochę zblakło, zmatowiało, powietrze wydaje się być bardziej zatechłe, niż było. Nie bardzo wiedząc, cóż uczynić dalej, podchodzę, nie dotykając starych desek parkietu, do smętnie skrzypiących drzwi. Schodzę po schodach, omijam zawaloną, poczerniałą od sadzy i ognia belkę i wychodzę z ruiny przez dziurę w ścianie. Ulica nie przypomina tej, którą zapamiętałem. Wiedzie przez kamienną, czerwoną pustynię. Wieje porywisty wiatr, poganiający pędzące po niebie ceglaste chmury. Drobinki wszędobylskiego, rudego piachu boleśnie wbijają mi się w policzki i wpadają do oczu. Jezdnia przysypana jest pustynnym żwirem, który chrzęści pod moimi butami, gdy idę drogą w nieznaną. Ściemnia się, wicher daje za wygraną, szarpiąc ostatkiem sił połę płaszcz. Suche powietrze drapie w gardle. Próbuję sobie to wszystko jakoś poukładać. Jestem martwy, to jest pewne. Widziałem własne truchło, czułem, jak z mojego ciała uchodzi życie. Tylko co dalej? Podejmuję karkołomne zadanie, nad rozwiązaniem którego ludzkość głowi się od pokoleń. Ja mam nad nimi tę przewagę, że niebawem przekonam się, która z frakcji ma rację. I, jako niegdyś zatwardziałego ateistę, przeraża mnie to. Bo wiem już, że prawda nie leży po mojej stronie. Sam fakt, że idę po tym cholernym żwirze, czując w ustach metaliczny posmak świadczy o tym, że po "drugiej stronie" coś jest. Mrużę oczy, próbując przebić wzrokiem ciemność. Gdzieś w oddali dostrzegam migające światełka. Przyspieszam podnosząc kołnierz flauszowego prochowca, by osłonić się przed kłującymi igielkami piachu.

Drewniane drzwi, zbite byle jak z desek, otwarły się. Mężczyzna, wszedłszy do środka, rozejrzał się niepewnie. Oczy ludzi siedzących posępnie przy stolikach skupiły się na nim, lecz po chwili zdawali się już go nie widzieć i powrócili do przerwanych czynności. Po stole znów potoczyły się kolorowe kości, karty uderzyły o blat, jakiś kieliszek głośniejsz brzęknął, odstawiony z

pijackim impetem na ławę. Barman, chudy, jednooki staruszek z papierosem trzymanym wargami, przecierał brudną szmatą wysłużone kufle i bacznie obserwował nowo przybyłego. Ten podszedł do kontuaru i rzucił okiem na tutejsze specjały. Zmarszczył brwi, widać nie rozpoznał żadnego z trunków.

- Macie tu whisky?

- Oczywiście! Najlepszą w całej Podrugiejstronie! - Barman posłał mu wyuczony uśmiech, chwycił w szponiastą dłoń nieco wyszczerbioną szklankę z grubym dnem i wlał do niej z przykurzonej butelki brązowy płyn. Podsunął ją klientowi, strzepując drugą ręką popiół do przepelnionej popielnicy.

- Czym szanowny pan płaci? - spytał uprzejmie, cały czas trzymając szklankę. Gość stropił się, jakby sobie o czymś przypominając, poklepał się po tylnej kieszeni spodni, przetrząsnął wewnętrzne zakamarki płaszcza, dopiero w bocznych kieszeniach, przeszukiwanych coraz bardziej nerwowo, zabrzączały jakieś monety. Obcy wyciągnął jedną, przyjrzał się jej bardzo uważnie, jakby widział po raz pierwszy i położył na ladzie.

- Czy przyjmujesz taką walutę, dobry człowieku? - Do Barmana dopiero po chwili dotarł sens zadanego mu pytania; widok Obola położonego jako zapłata za podłą whisky, robioną z rdzawej deszczówki i różnego świństwa zaskoczył go tak dalece, że aż zadrżały mu szczurze nozdrza. Zgarnął szybko monetę, jakby płacący miał się rozmyślić, schował ją do najgłębszej skrytki swojej składającej się z kolorowych łat kamizelki i odpowiedział, nieco zbity z pantyku:

- Taaaa... W Podrugiejstronie przyjmujemy wiele różnych walut. - Wyszczerzył się paskudnie i zbliżył twarz do nieznanego. Tamten odsunął się ze źle skrywaną odrazą, gdy owionął go smród podłego tytoniu i kwaśnego oddechu.

- Jesteś nowy, prawda? - szepnął staruszek, nerwowo spoglądając na siedzących przy brudnych stolikach gości. - Znaczy się, niedawno kipnałeś, tak? - Kiwnięcie głową było jedyną odpowiedzią. Barman wydał wargi, zgasił

obrzydliwego peta, puścił trzymaną szklankę i wyszedł zza lady, siadając na okrągłym taborecie obok swojego gościa.

- Posłuchaj mnie, przyjacielu. Jesteś nowy, więc nie wiesz. Ta whisky nie była warta twojego Obola, ale jako resztę przyjmij moją radę. Nie marnuj tych monet w przydrożnych barach, burdelach czy kasynach. Zawsze miej przynajmniej jedną. Zawsze – dla podkreślenia wagi swoich słów wzniosł ku górze wskazujący palec i otworzył szeroko jedyne oko.

- Co się stanie, jeśli stracę wszystkie?

- Różnie może być. Powiadają, że jeśli Dylizans zabierze cię Tam, to zostajesz już na zawsze, bez możliwości powrotu, stukając czym popadnie na strychu i tłukąc ze złości talerze.

- Tam, czyli gdzie?

- Tam to jest nazwa świata żywych. Po prostu Tam. - Upił łyk whisky zamówionej przez nowo przybyłego i skrzywił się ze wstrętem. - Inni mówią, że zwyczajnie powracasz do Podrugiejstrony. Ale szczerze powiedziawszy, nie spotkałem nigdy nikogo, kto by wrócił po utracie wszystkich Oboli Tam. Więc włożyłbym tę tezę między bajki a bzdury.

- A jeśli monety przypadną mi tu?

- No cóż... Idziesz dalej. Ale dokąd? Tego nie wiem. Nie znalazł się nikt, kto wróciłby z Pustkowi, by opowiedzieć, co tam się znajduje. Nie ryzykowałbym. Podrugiejstronie może nie jest bardzo malowniczą czy przyjazną krainą, ale jest, a my wraz z nią, przyjacielu. Lepiej nie kombinować i pilnować Oboli. - Gdzieś daleko, na zewnątrz, rozległ się przesywający dźwięk syreny przeciwlotniczej. Na twarzach gości wykwitło przerażenie, zerwali się z krzeseł, Barman szybciej, niż można by spodziewać się po jego wątlej posturze, podbiegł do klapy w podłodze i podniósł ją, wpuszczając wszystkich do środka. Tylko jeden, pijany w sztok mężczyzna pozostał, śpiąc na zastawionej pustymi kuflami ławie. Nikt go nie obudził, wszyscy jak jeden mąż czym prędzej zbiegli na dół.

Pokrywa opadła skrywając ich w mroku rozświetlanym jedynie przez nikłe światło, wpadające z sali przez przerwy między deskami.

- Co się dzieje?

- Ciii, nowy, przekonasz się. – Głos Barmana zabrzmiał tuż przy uchu pytającego. - Patrz uważnie... - Po chwili dobiegł ich przeraźliwy dźwięk mnóstwa muszych skrzydeł, tnących powietrze. Do sali wleciały setki tłustych much, przeleciały przez nią i opuściły tak szybko, jak się pojawiły.

- Co to było?

- Muchy, przyjacielu. Ich Pan urządził sobie dzisiaj polowanie.

- Co?!

- To, co słyszałeś – odpowiedział barczysty mężczyzna, o kilkakrotnie połamanym nosie – Pan Much urządził sobie polowanie. - Uniósł klapę i wyszedł. Za nim z kryjówki wynurzyli się pozostali. Pijany mężczyzna nadal siedział przy stole, dokładnie tak, jak go pozostawili. Przybysz przyjrzał się uważnie jego pokrytej rdzą sylwetce. Podeszedł do niego i chwycił za ramię, chcąc obudzić. Człowiek rozsypał się w rudy pył. Oczy nowego zrobiły się okrągłe jak spodki, odstąpił parę kroków w tył, cały czas wyciągając rękę, jakby nadal trzymał ją tamtemu na barku.

- On... On...

- Rozsypał się – Barman wypowiedział te słowa beznamiętnie, jakby przekazywał informację o aktualnej godzinie.

- Ale... Dlaczego nie zabraliście go ze sobą?! Przecież zmieścilibyśmy się wszyscy! - Poły płaszcza zawirowały, gdy odwrócił się ze wściekłością i przerażeniem do stojących za nim ludzi.

- Uspokój się, chłopie – jeden z wcześniej grających w kości przysunął sobie krzesło i opadł na nie ciężko – takie rzeczy się tu zdarzają. Na pierwszy rzut oka widać, żeś nietutejszy. Mogliśmy go wziąć. Ale wtedy Pan Much mógłby nie złapać nic dalej. I wróciłby jutro. A tak mamy spokój przynajmniej

na tydzień. Zresztą. Na pustyni są gorsze rzeczy. - Po tych słowach wpatrzył się w rdzawy piasek. Zmrużył oczy i rzucił się w tamtą stronę. Wraz z nim kupkę począł rozgrzebywać chudy jegomość, jeszcze lichtszej postury, niżli właściciel baru.

- Poszedł precz, ja znalazłem pierwszy!

- Niech cię diabli porwą, oddawaj, to moje! - Wrzaski i szamotaninę przerwał huk wystrzału. Oczy wszystkich zwróciły się w stronę stojącego na stole Barmana, trzymającego dymiącą jeszcze dwururkę.

- To mój bar i wszystko, co traci właściciela staje się moją własnością. – Odpalił papierosa. – Znacie zasady, chłopcy. - Tamci dwaj posłusznie, jak dobrze ułożone psy, odstąpili od dwóch Oboli, które połyskiwały w czerwonym popiele.

Słońce wzeszło niedawno, lecz Jerry był już w drodze od przeszło dwóch godzin. Wlókł się noga za nogą po pokrytym żwirem trakcie i rozmyślał nad wczorajszymi wydarzeniami. Zamierzał dotrzeć do Stacji, z której odjeżdżał Dylizans. Koniecznie musiał dostać się Tam, by dowiedzieć się, co słychać u jego bliskich. Chciał zobaczyć swoją żonę i córkę. Tęsknił za nimi tak bardzo, jakby nie widział ich rok, a nie zaledwie dwa dni. Barman powiedział mu, że podróż w jedną stronę kosztuje Obola. Włożył rękę do kieszeni. Obol Tam, Obol z powrotem, zostaną mu jeszcze dwa. Nie będzie chyba tak źle, może w przyszłości uda mu się zdobyć ich więcej. Co prawda nie miał jeszcze pomysłu, jak to zrobić, ale tym postanowił się na razie nie przejmować. Jego priorytetem stało się ponowne znalezienie się Tam.

Mężczyzna siedzący na wielkiej, skórzanej walizce początkowo nie zwrócił uwagi na Jerry' ego. Dopiero po powtórzeniu zadanego pytania odwrócił się w jego stronę i zmrużył oczy w sposób charakterystyczny dla krótkowidza. Zdjął

okulary z orlego nosa, przeczyścił rąbkiem flanelowej, kraciastej koszuli fioletowe szkła i założył je ponownie, uważnie taksując stojącego przed nim biznesmena w szarym płaszczu.

- O co pan pytał, bo nie dosłyszałem?

- Pytałem, o której ma odjechać Dylizans.

- Doprawdy, sir, cóż za nedorzecznosc. Przecież oczywistym jest, iż Dylizans odjeżdża zawsze dokładnie wtedy, kiedy powinien.

- Czyli? - Brytyjski akcent tego dziwnego człowieka zaczynał działać Jerry'emu na nerwy.

- Czyli przyjedzie, jak będzie, ani chwili wcześniej, ani później. – Dziwak kiwnął szybko i powrócił do obserwowania pustyni. Jerry pokręcił głową i przysiadł na przysypanym pyłem kamieniu. Żar lał się z nieba poruszając suchym powietrzem. Na horyzoncie dostrzegł unoszący się nad drogą tuman kurzu, który całkiem szybko zbliżał się w ich stronę. Po chwili dało się słyszeć tętent kopyt. Dylizans zatrzymał się nieopodal Jerry' ego i ekscentryka z fioletowymi okularami na nosie. Konie, zupełnie inne od tych, które Jerry znał ze swojego ziemskiego życia, nerwowo przeżuwały wędzidla. Ogłowia na mocnych pyskach zdobione były stalowymi ćwiekami, kółka łączące je z wozami pobrzękiwały przy każdym potrząśnięciu zwieńczonymi poskręcanyimi różkami łbów. Jerry zbliżył się do metalowych, mocno zeżartych przez rdzę drzwi i szarpnął je. Woźnica siedzący na koźle położył mu drewnianą rękę na ramieniu. Zrzucił z głowy kaptur i spojrzał na niego świecącymi oczami.

- Twój Obol za przejazd. - Jerry, nie odwracając wzroku od nietypowego stangreta, wyciągnął z kieszeni monetę i położył na uplecionej z grubej wikliny dłoni, po czym zniknął w ciemnym wnętrzu powozu. Tuż koło niego usadowił się mężczyzna z wielką walizką. Chwilę później Dylizans ruszył, chrzęszcząc kołami po żwirowym podłożu. Nie ujechali więcej niż dziesięć kilometrów, gdy za nimi rozległy się strzały i wrzaski. Posplatany z poskręcanych konarów woźnica obejrzał się przez ramię i popędził półmechaniczne konie do szybszego

biegu. Zwierzęta zarżały smagnięte po grzbietach batem i posłusznie przyspieszyły. Napastnicy nie dawali za wygraną; powoli, acz nieubłaganie zbliżali się do powozu strzelając z bandoletów w bure niebo. Dopadli w końcu celu, w pędzie otwarli drzwi i wywlekli podróżnych, którzy z łoskotem gruchnęli o ziemię.

- Słyszałem niegdyś pewną plotkę, sir. - Irytujący, brytyjski akcent wyrwał Jerry'ego z błogiej nieświadomości. Ból rozlał się falą po całym ciele. Nie wiedział, że martwi mogą doświadczać go z taką intensywnością. Leżał na rozgrzanym piasku w samych slipkach. Jego rozmówca był w niewiele lepszym stanie; niemal nagi, posiniaczony, z wybitym przednim zębem.

- Jaką plotkę – wypluł piach.

- Otóż słyszałem, iż ci, którzy utracą swe Obole, co właśnie nastąpiło za sprawą owych nie – dżentelmenów, udają się na Pustkowie. Nie od razu; następuje to, gdy w Podrugiejstronie zachodzi słońce, wówczas człek taki jeno w rdzawy pył się przemienia i przenosi się do wspomnianej krainy. Słyszałem, iż oni mają jakoby szansę na coś lepszego. Jak zapewne zauważyłeś, sir, ta kraina nie jest zbyt przyjazna. Ponoć żądzą nią najprymitywniejsze i najpodlejsze osobniki, choć nie do końca wierzę temu twierdzeniu, bowiem nie spotkałem tu zbyt wielu Francuzów... ale nie odbiegajmy od tematu. Ponoć Obole są tym, co wiąże nas z Podrugiejstronie i są również odzwierciedleniem chęci posiadania i materializmu. I po utracie Oboli zyskuje się możliwość uwolnienia od doczesnych problemów i zaznania szczęścia wiecznego. Takie swoiste niebo, uwierzy pan? - Jerry patrzył na niego z wyrazem twarzy naukowca, który odnalazł wyjątkowo ciekawego robaka.

- Być może ma pan rację. Obawiam się, że niebawem będziemy mieli okazję przekonać się, jak jest naprawdę – spojrzął w stronę niknącego za horyzontem słońca.

- Pan na pewno. Ja – nie sędzę.

- Przecież pana też okradli ze wszystkiego. - Brytyjczyk, jak zaczął go nazywać w myślach Jerry, wstał, otrzepał się i skłonił mu lekko.

- Widzisz, sir, trzeba być zapobiegliwym. Ja swojego Obola dawno temu połknąłem, przez co nie można mi go odebrać. – Skłonił się Jerry’emu i odszedł wraz z ostatnimi promieniami słońca, pozostawiając rozmówcę w osłupieniu. Po chwili wiatr rozwiął rudy kurz, który pozostał po nowojorskim biznesmenie.